



KURYER AKADEMICKI

Tłoczono w Krakowie na dzień 12 maja 1964 roku

KURYER NASZ WARTA MONETĘ W CZTERY GRZYWNY, ID EST CA DWIE ŚCIE GROSZY KRAKOWSKIEJ KUŹNIE
LICZBY OBYKŁEJ POLSKIEJ, LICZĄC W KAŻDĄ GRZYWNĘ CZTERDZIEŚCI OŚM GROSZY SZYROKICH; NA DZISIEJSZE

2 złote

IN NOMINE Domini amen. To, co wola królewskiego Majestatu szczególnie z głębokiej pobożności i czystości wiary ku pożytkowi poddanych i zbawieniu rodzaju ludzkiego w szczerem i szlachetnym uczuciu stanowi, niechaj zyska wiarygodność i cieszy się większą trwałością, ponieważ nie nie znaczą ustawy, jeśli się ich jak najusilniej nie przestrzega. Przeto my, Kazimierz, z bożej łaski król Polski i ziem: krakowskiej, sandomierskiej, sieradzkiej, łęczyckiej, kujawskiej, pomorskiej i ruskiej, pan i dziedzic, pragnąc gorąco, tak jak to jest naszym obowiązkiem, aby się rzecz pożyteczna i wszelka pomyślność rodzaju ludzkiego rozszerzała, bacząc na to, co lepsze, i nie wątpiąc, że to duchowieństwu i poddanym królestwa naszego pożytek przyniesie, postanowiliśmy w mieście naszym Krakowie wyznaczyć, obrać, ustanowić, urządzić miejsce, na którym by szkoła powszechna w każdym dozwolonym wydziale kwitnęła, a dla przyszłości na wieczne czasy tym piśmem jej istnienie zapewnić chcemy. Niechże więc tam będzie nauk przemożnych perła, aby wydawała męża, dojrzałością rady znakomite, ozdoba cnót świetna, i w różnych umiejętnościach biegła; niechaj otworzy się orzeźwiający źródło, a z jego pełności niech czerpią wszyscy naukami napić się pragnący.

DO TEGO to miasta Krakowa niechaj zjeżdżają się swobodnie i bezpiecznie wszyscy mieszkańcy, nie tylko królestwa naszego i krajów

mi: kofmami, książkami, sukniemi, pościelą, pieniędzmi i sprzętami domowymi swobodnie i bezpiecznie przechodzić mogą.

ROWNIEŻ, gdyby rodzice lub przyjaciele jakiego scholara wjadło i napoje jakiegokolwiek zaopatrzyć chcieli, wszystko to do wzmiankowanego miasta Krakowa, ma wolno wejść bez opłacania jakiegokolwiek cła, a rzeźnicy i ktokolwiek inny nie mają temu w żaden sposób przeszkadzać. Gdyby się kto ze scholarów za granicą ziemi krakowskiej w ziarno zboża, mąkę, słód, marcowe piwo, wino lub drwa zaopatrzył, wszystko to i każda rzecz z osobną wodą i ładem wolno puszczane być ma bez opłaty cel i dziesięcin w drwach. Piekarze zaś, scholarom chleb wypiekający, i młynarze, ziarna ich mielący, niech się nie wazą więcej od nich wyciągać nad to, co im obywateli pomienionego miasta płacić zwykli. Gdyby również (co niech Bóg uchowa) którego z scholarów lub ich czeladzi, w granicach królestwa naszego kto z naszych poddanych, jawnie lub tajemnie obrabował z koni, pieniędzy lub rzeczy, obowiązani będziemy natychmiast po wniesieniu przez niego skargi przez nas szkodę mu wynagrodzić a złościny poszukiwać, i z nim według porządku prawa postąpić.

GDYBY zaś obcy a nie nasi poddani scholara lub jego posłańca w granicach królestwa naszego obrabowali, do wrócenia szkód, sposobem wyżej podanym nie będziemy obowiązani, ale u monarchów sąsiedzkich, w których kraju złościny pomienieni przebywać będą, o odzyskanie rzeczy scholara usilnie starać się będziemy.

URZĄDZIŁIŚMY oddać szkoły potrzebne do czytania prawa kanonicznego, cywilnego, nauk lekarskich i umiejętności wyzwolonych, i wyznaczamy mieszkania przyzwolone dla doktorów, mistrzów, scholarów, pisarzy, księgarzy i bedelów.

MIESZKANIA te zaraz polecamy oszacować przez dwóch obywateli i dwóch scholarów, a taksa ta nie ma być nigdy powiększona płaca wyższą. Jeśli zaś te mieszkania w przeciągu czasu się poniszczą, właściciele będą obowiązani corocznie nakładem swym je naprawić. W przeciwnym razie scholar lub inny pomienionych domów mieszkaniec, zawiadomwszy wśród właściciela, będzie mógł dom naprawiać z czynszu rocznego bez niczyjego zarzutu.

GDYBY zaś kto w domu, dla uniwersytetu, jak podano, przeznaczonym, mieszkał, a scholar sobie go życzył za umówioną cenę, natychmiast komornik pierwszy, zapłaciwszy czynsz za czas upłyniony, wynieść się z domu będzie obowiązany, i scholarowi dobrowolnie go oddać.

CHCEMY także, aby scholarzy własnego rektora mieli, który by ich sądził w sprawach cywilnych i miał jurysdykcję zwyczajną nad wszystkimi, którzy by w mieście Krakowie, dla studiów zamieszkali. Wszyscy więc pomienionemu rektorowi przysięć i jego słuchać mają.

NIECHAJ się nikt nie waży w wzmiankowanych cywilnych sprawach doktora, mistrza, scholara, bedela, księgarza przed sąd jakiegokolwiek duchowny lub świecki powoływać, pod karą 10 grzywien groszów praskich, której to karze samym uczynkiem podpada; grzywny takie wpływają do skarbcza scholarów.

OD WYROKU rektora nikt nie może apelować, supliki wnosić, albo żądać przywrócenia do pierwotnego stanu. A choćby apelował, apelacyi jego przyjmować, ani apelującego słuchać żaden sędzia kościelny czy świecki nie może, lecz postanowienia wyroku rektora mają być ściśle zachowane. Gdyby jednak przeciw wyrokowi wniesiono zażalenie nieważności i złego zastosowania ustawy, konsyliarze uniwersytetu mają rozpoznać kwestyję prawa i słuszności. Nadto rektor powinien scholarów swoich w sprawach karnych lżejszych, jako to za pobicie, albo wtedy, jeśli scholar dla studiów w mieście Krakowie przebywający kogoś rubiąc za włosy, albo bijąc ręką lub pięścią, do rozlania krwi zrani. W sprawach tych scholarzy



lub ich służący do obcych sądów nie mają być pociągani.

GDYBY zaś (czego oby nie było) scholara lub kogoś z wymienionych na złodziejstwie, cudzołóstwie lub nierządzie, zabójstwie lub innej zbrodni głównej jawnie schwytano, występki tych rozpoznawać rektor nie będzie, ale duchowny natychmiast do sądu biskupiego ma być odesłany, świecki zaś naszemu podlegnie sądowi.

JEŻELI zaś scholar świecki, bedel, księgarz albo ich słudzy o zbrodni zabójstwa, cudzołóstwa, obcięcia członków, albo zadania rany śmiertelnej, lub jakiegokolwiek szkodliwego występku obwinieni zostaną, natenczas nie podług zwyczajów ówczesnych albo statutów, ale podług prawa rzymskiego przez nas albo przez wyznaczonego sędziego mają być sądzeni. Obwinionego należy przypuścić do oczyszczenia się z zarzuconej mu zbrodni świadectwem pocciwych ludzi. Gdyby o jakiegokolwiek zbrodnię wielką lub małą albo występki jakiegokolwiek scholara albo kogoś ze wspomnianych obwiniono, niech nikt się nie waży chwycić go i przytrzymać inaczej, jak tylko ze sługami rektora, i za jego zezwoleniem i rozkazem wyraźnym, a to dlatego, aby z powodu jednego zbrodniarza nie szarpało nieprzystojnie rzeczy niewinnych ludzi. Także, jeśli rektor wykonywając prawnie swoją jurysdykcję podług przepisów statutów kogoś z uniwersytetu wydali i korzystać z nim związanych pozbawi, wydalony na żądanie rektora z obydwóch miast Krakowa i Kazimierza, przez wójtów i obywateli natychmiast ma być wypędzony.

NIECH nikt się nie waży takiego w domu swoim przechowywać, albo mu jakiegokolwiek pokarmy i napoje sprzedawać darowywać lub użyczać. Ale gdyby scholar lub ktoś z wyżej wzmiankowanych, wyrokowi albo rozkazowi rektora nie był posłuszny naprawdę i buntował się przeciw swojemu rektorowi, obo-

wiązani będą wójtowie obojga miast na żądanie rektora wysłać sługi swoje dla poskromienia zuchwałości wspomnianego rokosznika.

WYZNACZAMY także place na katedry następujące, a mianowicie: na katedrę dekretów 40 grzywien srebra corocznie, na katedrę dekretów Klemensa 20 grzywien. Opatrujemy także czytającego kodeks praw 40 grzywnami srebra, czytającego księgę zwaną Infortiatum takąż sumą, czytającego księgę zwaną Volumen 20 grzywnami, podobnie na rok przysię podług zwyczaju szkoły prawa, czytającym Digestum Vetus i Novum każdemu 40 grzywien naznaczamy. Dwom zaś mistrzom czytającym fizykę wyznaczamy płacę 20 grzywien każdemu rocznie, a mistrzowi nauk wyzwolonych oddajemy szkołę N Panny Maryi, i dziesięć grzywien dochodu przyłączamy. Rektorowi uniwersytetu za jego trudny wyznaczamy nagrodę 10 grzywien, jak w innych szkołach jest w zwyczaju.

TE ZAŚ place przekazujemy teraz na żupy nasze solne wielkie tak, iż nasz żupnik doktorom i mistrzom uczącym będzie obowiązany płacić je co kwartał w Krakowie.

WSPOMNIANYM scholarom naznaczony jednego kompsora czyli Żyda w mieście Krakowie, który by miał wystarczające pieniądze do pożyczania im w potrzebie na pewne zastawy i który by za usługę swoją nie wyciągał więcej, jak grosz od jednej grzywny na miesiąc.

DOKTOROWIE i mistrzowie od płatnych katedr powinni być obciążeni przez scholarów tego wydziału, do którego za doktorów lub mistrzów mają być wzięci. A gdyby w wyborze nie było zgody, mianowany przez większą część, ma być obrany i nam, jeśli pod ów czas obecni będziemy, lub naszemu komisarzowi, którego na to ustanowimy, prezentowany. Obrany zaś przez

nas albo przez naszego komisarza niech obejmie katedrę.

ZADEN doktor lub magister rektorem nie będzie mógł być obrany. Scholar, będąc rektorem, nie może być przypuszczony podczas rektora tu swojego do prywatnego egzaminu na żadnym wydziale.

STANOWIMY także, aby ilekroć się zdarzy, że doktorowie albo magistrowie scholarów do prywatnego

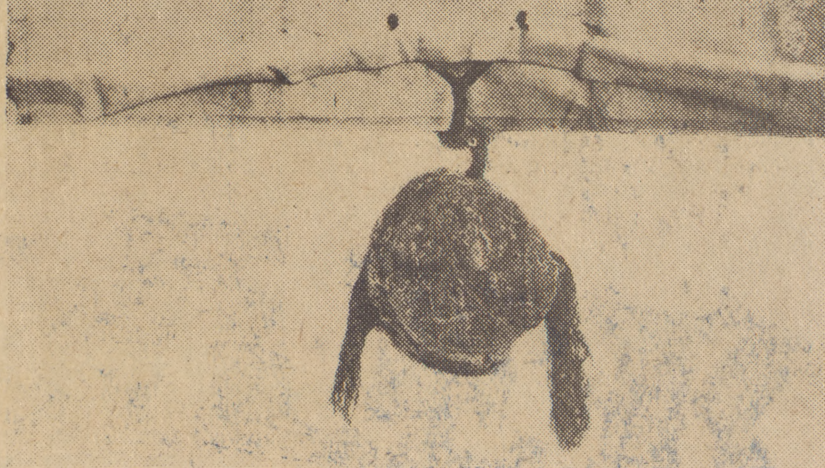
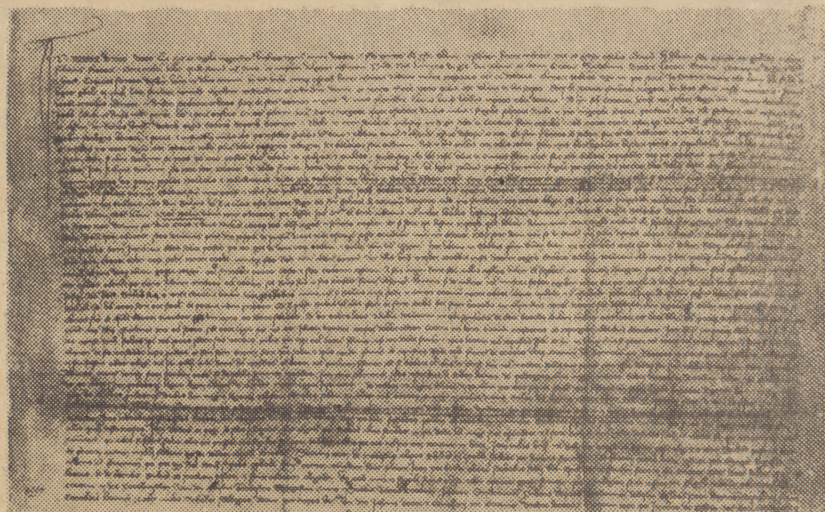


egzaminu dopuszczają, kanclerz nasz krakowski, który podówczas będzie, miał jako zwierzchnik zupełną władzę potwierdzenia tego egzaminu.

ABY zaś scholarzy szkoły powszechnej ćwiczenie mieli, biskup krakowski powinien w samym mieście Krakowie oficjalnie swego osadzić, jak to już jest faktycznie, aby uczniowie z wykładów przechodził do praktyki i nabierali śmiałości w dowodzeniu.

ABY zaś to wszystko, i każda rzecz z osobną powyżej wyrażoną, nabrała mocy wiecznej trwałości, rozkazaliśmy niniejszy napisać przywilej, pieczęci naszej wyciśnięciem stwierdzony. Działo się w Krakowie, w dzień Zielonych Świątek, roku Pańskiego tysięcznego trzzechsetnego sześćdziesiątego czwartego, w przytomności Andrzeja krakowskiego, Jana sandomierskiego wojewodów; Wilczka sandomierskiego. Dobiesława wiślickiego, Piotra wojnickiego kasztelanów; Florjana kanclerza łęczyckiego i innych wielu szlachetnych i wiary godnych mężów. Dan przez ręce czcigodnego męża Jana dziekana i kanclerza naszego krakowskiego dekretów doktora. Pisał Jakób z Ossowa pisarz dworu naszego królewskiego.

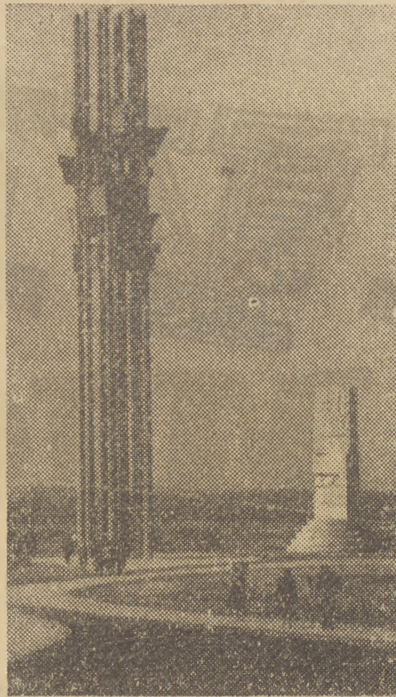
1364. dnia 12. maja, w Krakowie.



SLUBUJEMY

Rok 1964. 10 maja. Kraków. Dzień zniczek Wawelski — Ogólnopolskie Zgromadzenie Studentów Polski Ludowej. 4600 delegatów środowiska krakowskiego, 1000 reprezentantów innych ośrodków akademickich. Studenci spoza Krakowa wybrani są na zasadzie delegacji wszystkich polskich szkół wyższych proporcjonalnie do ilości studentów w tych uczelniach — jeden delegat na stu studiujących. Przyjeżdżają dwoma specjalnymi pociągami. Pierwsza trasa: Szczecin — Poznań — Wrocław — Opole — Gliwice — Katowice — Kraków. Druga: Gdańsk — Toruń — Warszawa — Kraków. Punkt kulminacyjny Zgromadzenia — ślubowanie ojczyźnie, składane przez delegatów. Fanfary przy bramie wejściowej, przyjęcie oficjalnych gości między szpalarami. Otwarcie zgromadzenia. Cel Zgromadzenia: manifestacja społecznego zaangażowania studentów, popularyzacja wśród studentów potrzeb kraju i gospodarki narodowej oraz politycznych treści i programu Partii wśród młodzieży.

Tak brzmi najkrótszy zapis w kalendarzu organizatorów. Wyobraźnia podpowiada opis scenarii i rekwizytów. Podniosła atmosfera — niezwykłość kontrastów i klarowny sens doniosłej chwili. Historia, zamknięta w najprostsze formuły: — Tysiąclecie Państwa Polskiego, Sześćsetlecie polskiej nauki, Dwudziestolecie Polski Ludowej... i skromne biografie dwudziestoletnich uczestników Zgromadzenia. Zaduma. Wzruszenie. Rezygnacja wreszcie z wyobraźni na rzecz historycznego myślenia. Słowa: Przeszłość, Tradycja, Polska, Socjalizm układają się pospiesznie w refleksję o sensie historii i dniu dzisiejszym. Kate-



gorie patosu zamieniają się niepostrzeżenie w konkretny rachunek dokonań i osiągnięć Dwudziestolecia...

Za sprawą wielkiej mądrości politycznej problemy naszej historii najbliższej znajdują swoje miejsce w kontekście twórczej dyskusji nad teząmi KC Partii. Dyskusja ta sumując doświadczenia dwudziestu lat Polski Ludowej określa równocześnie realny kształt naszej przyszłości najbliższej. A dla nikogo nie jest ona chyba przedmiotem takiej fascynacji, jak dla tych, którzy za rok czy dwa podejmą pracę i bezpośrednio odpowiedzialność za realizację zamierzeń i planów.

W tej atmosferze szacunku dla faktów i historii, w klimacie ogólnospołecznej troski o codziennosc kraju padną słowa studenckiego ślubowania. Jest sprawą ambicji, lecz równocześnie i dobrze pojętej skromności młodzieży wobec dorobku kraju, aby słowa te były w miarę realnych możliwości — spraw-

dzonych już, lub racjonalnie przewidywanych.

Treść, która je wyznacza, ma charakter społecznych, politycznych i organizacyjnych doświadczeń środowiska studenckiego. Realne doświadczenia podyktują słowa o kształcie zaangażowania w stu tysięcy studiujących w sprawy swojej ojczyzny, miasta i uczelni. Ślubowanie więc, obok swych emocjonalnych walorów, będzie przede wszystkim ogólnospołecznym wyrazem aktualnej problematyki, nurtującej środowisko studenckie z jednej strony i ustaleniem programu działania na przyszłość — z drugiej. Zgromadzenie na Wawelu i ślubowanie będą aktem samookreślenia środowiska studenckiego. Ten ogólnospołeczny charakter ślubowania nadaje mu podstawowy sens i wagę.

Środowisko studenckie posiada swą oczywistą specyfikę. Wyznacza ją wiele czynników i kryteriów: wiek studiujących, proces zdobywania teoretycznej wiedzy, sytuacja ekonomiczna studenta — kredyt od państwa i najbliższych, gwałtowne odwracanie od rodzinnych środowisk, nieuczestniczenie w bezpośrednim procesie produkcji, bardzo dynamiczny wreszcie proces dojrzewania intelektualnego i społecznego studenta. Te i wiele innych czynników sprawiają, że środowisko studenckie narażone jest na niebezpieczeństwo słabych związków ze sprawami społecznej codzienności i praktyki. To również jest przyczyną obiegowych naiwnych opinii o studentach jako o grupie rządzonej przedziwnymi prawami obyczaju, moralności, logiki.

A przecież gdzie indziej należy szukać treści charakteryzujących to bardzo prężne środowisko młodzieżowe. Rządzą tu przecież zwykłe prawa społeczne i socjologiczne typowe dla grup ludzi, których łączy wspólna praca i zainteresowania.

Kontakty ze społeczeństwem są w pracy Zrzeszenia Studentów Polskich ważnym punktem zainteresowań. ZSP stara się wypracować trwałe i funkcjonalne dla swych wychowawczych celów formy tych kontaktów. Wystarczy wspomnieć o

pięknej i mądrej inicjatywie krakowskich studentów w Proszowicach. Przypomnijmy: koła naukowe wyższych uczelni Krakowa podjęły się, pod opieką poszczególnych katedr, kompleksowych badań i prac w tym powiecie. Obopólne korzyści takiej współpracy są oczywiste. Czekały niecierpliwie na jej wyniki. Inicjatywa „proszowicka” jest jednym z elementów żywo rozwijającego się ruchu studenckich kół regionalnych i pracy ZSP na rzecz poszczególnych regionów kraju.

Współpraca z regionami, jako forma kontaktów ze społeczeństwem, jest ważna z punktu widzenia przełamywania izolacji środowiska, możliwości realnego spojrzenia na funkcje, rolę i zadania młodej inteligencji — na miejsce studenta w społeczeństwie. Kontakty te stanowią istotny element wychowawczy, wążący środowisko z praktyką, zbliżający do codziennych potrzeb regionów. Dają one możliwość spojrzenia na mechanizm działania gospodarczego i społecznego.

O zasięgu akcji współpracy ZSP z regionami świadczy uczestniczenie w niej wszystkich ośrodków studenckich. I tak np.: z województwem koszalińskim współpracuje Gdańsk, Szczecin, Toruń, Warszawa, Poznań. Z województwem zielonogórskim — Wrocław, Poznań, Gliwice. Z woj. kieleckim — Lublin, Kraków, Warszawa, Łódź. Z Rybnickim Okręgiem Wąglowym — uczelnie Śląska. Pomyślnie rozwija się współpraca środowiska krakowskiego z woj. opolskim — studenci podejmują prace magisterskie związane z tym regionem po konsultacjach z władzami terenowymi i zakładami pracy. Ta forma współpracy wydaje się szczególnie korzystną dla obu zainteresowanych stron — sprawia ona, że pracę zawodową podejmuje się zasadniczo już w czasie studiów.

Problem współpracy ze społeczeństwem, mimo iż stanowi część treści, jakimi środowisko żyje na co dzień, zawiera jednak w sobie tendencję charakterystyczną — sumuje poszukiwania i najcenniejsze osiągnięcia, wyznaczając program działania na przyszłość.

Jest to dobra szkoła praktycznego wychowania i przygotowania do zawodu, stanowi zasadnicze ogniwo procesu, które w ZSP określa się mianem samowychowania.

Procesowi temu podporządkowane są zarówno zasadnicze i podstawowe obowiązki studenta wobec uczelni, jak i wszelkie formy działalności organizacyjnej, społecznej i kulturalnej środowiska. Zakres tych form jest szeroki. Cel polityczno-wychowawczy konkretny: kształtowanie poprzez konfrontację teorii z praktyką autentycznych postaw ideowych, intelektualnie określonych materialistycznym — marksistowskim poglądem na świat.

Nie jest to formuła abstrakcyjna. Wysilek studenckich organizacji młodzieżowych wynika z chęci uczestniczenia w ważnym, często konfliktowym procesie dochodzenia do wiedzy o tym zespole problemów, który zwykliśmy nazywać współczesnością. Zdobywanie wiedzy o świecie to nie tylko suma zdanych egzaminów i zaliczonych lat studiów. Dla każdego z nas poznanie ma przecież cechy osobistego przeżycia i doświadczenia. Obok specjalistycznej wiedzy, którą zdobywamy w czasie ćwiczeń i seminariów, a która decyduje o naszym zawodzie i użyteczności, istnieje wiedza o Polsce nam współczesnej. Tempo zmian, które w niej zachodzą, czyni z Polski kraj, który może być przedmiotem fascynacji dla każdego myślącego człowieka. Dla każdego, kto widzi swoje konkretne miejsce pracy i obowiązki wobec społeczeństwa.

Właśnie ten zakres doświadczeń i dążeń środowiska studenckiego określi treść ślubowania ojczyźnie, składanego przez delegatów wszystkich środowisk studenckich kraju.

10 maja. Kraków. Dziedzicze Wawelski. Historia zamknięta w najprostsze formuły: — Tysiąclecie Państwa Polskiego, Sześćsetlecie polskiej nauki, Dwudziestolecie Polski Ludowej. Przeszłość, Współczesność, Polska, Socjalizm. Myśli układają się w refleksję o sensie historii i dniu dzisiejszym...

Stanisław Hankus

POPRZEDNI JUBILEUSZ

W obliczu trwających obchodów jubileuszowych, ujmując rzecz nieco żartobliwie, można by stwierdzić, że w Krakowie wielkie, stuletnie jubileusze, przypadają raz na... 64 lata. Przed tyłu bowiem laty, Anno Domini 1900, Kraków był miejscem wystawnego, iście w stylu staropolskim urządzonego, ale w treściach swych konserwatywnego i klerykalnego jubileuszu 500-lecia odnowienia przez króla Władysława Jagiełłę Wszechnocy Krakowskiej.

Z przyczyn politycznych — wszak w tamtych latach kraj nasz pozbawiony był niezależnego bytu państwowego — wzmiankowany jubileusz nie mógł mieć charakteru oficjalnego. Fakt, że Komitet jubileuszowy nie mógł liczyć na finansowe wsparcie rządu wiedeńskiego, uciekł się do ofiarności społeczeństwa, głównie zaś do bogatych wychowanków Uniwersytetu, skłania do refleksji, że ów jubileusz był niejako prywatną fundacją. Rzecz niezmiennie charakterystyczna, że koszta jego w połowie pokryte zostały przez składkę, którą opodatkowało się grono profesorów uczelni. W zorganizowaniu obchodów pomógł również Komitet obywatelski Krakowa pod przewodnictwem ówczesnego prezydenta miasta, Friedleina. Młodzież studecka Uniwersytetu zawiązała komitet akademicki wnoszący swoje inicjatywy do prac jubileuszowych.

Mimo opisanych faktów, krakowscy konserwatyści, wśród których była zdecydowana większość profesorów Uniwersytetu, lojalnie stawiali wobec Austrii, wykorzystując swoje stosunki wśród osobistości ze sfery rządzących i zapraszając je na obchody, pragnęli nadać uroczystościom charakter właśnie jak najbardziej oficjalny, mając w tym zresztą swój zamierzony cel.

A oto jak wyglądała pokrótce strona pokazowa, zewnętrzna jubileuszu 1900 roku.

6 czerwca rano Senat Uczelni złożył wieniec kwiatów na grobowcach Kazimierza Wielkiego, królowej Jadwigi oraz Władysława Jagiełły. Tego też dnia w salach Sukiennic Rada Miejska wydała aut. Zeromadził on 1500 gości, witynych przez prezydenta Friedleina.

7 czerwiec, to dzień zasadniczych uroczystości. W Krakowie od rana zawieszono prace, zamknięto urzędy, sklepy, biura i warsztaty. W Collegium Novum

o godz. 8-mej zebrał się profesorowie, docenci i asystenci Uniwersytetu Jagiellońskiego. Stąd gremialnie udali się do kościoła Mariackiego. Ulice wokół Rynku wypełniły oddziały Sokółów, mieszczanie w pięknych kontuszach, cechy z chorągiewkami oraz lud wiejski z pobliskich wsi. Po nabożeństwie w kościele Mariackim, podczas którego biskup Puzyna odczytał specjalne breve papieża Leona XIII poświęcone Uniwersytetowi, uformował się pochód złożony z uczonych polskich i zagranicznych, mieszczan krakowskich i włościan. Na Rynku, naprzeciw ulicy Szewskiej ustawiono bogato ozdobioną trybunę. Z niej pochód przyjmował Senat Uniwersytetu na czele z rektorem, hrabia Stanisławem Tarnowskim. Po defiladzie część „ludowa” pochodu podażyła na Wawel. Goście zaś, wśród których był m. in. minister oświaty rządu austriackiego Hartl, minister Pletak, ambasador wiedeński we Wiedniu hrabia Nigra oraz marszałek krajowy hrabia Stanisław Badeni oraz profesura, udali się do kościoła św. Anny. Tutaj wygłoszono mowę i wręczono dyplomy doktorów honorowych Uniwersytetu Jagiellońskiego. Warto nadmienić, że konserwatywny Senat uniwersytecki uhonorował podówczas doktora Henryka Sienkiewicza, obchodzącego akurat jubileusz 25-lecia pracy pisarskiej. Po południu 7 czerwca w wielkiej sali „Sokoła” (obecnie sala Cracovii przy ul. Manifestu Lipcowego) wydano obiad uniwersytecki na 500 osób złożony z kilku-nastu dań oraz 300 butelek. Toasty wzniesli: rektor Tarnowski i minister Hartl. Wieczorem tego dnia w teatrze odbyło się przedstawienie specjalne na uroczystości jubileuszowe napisane przez poetkę Deotymę i kompozytora Władysława Żelenskiego oratorium: „Gloria tibi Alma Mater”, dzieła zresztą o bardzo miernych walorach artystycznych. Rola Jagielly grał, a właściwie recytował sam Ludwik Soliski. W nocy Kraków był rześkie iluminowany.

8 czerwca dokonano odsłonięcia pomnika Mikołaja Kopernika, dłuta Cyprilana Godebskiego. Były jeszcze przyjęcia, zwiedzenie wystawy pamiątek z XV i XVI wieku, była wycieczka do Wieliczki w kilkadziesiąt powozów zaprzężonych w racze konie, było wręczenie adresów Uniwersytetowi od przerwanych instytucji, cechów i związków. Goście jednak już opuścili miasto. Kraków wracał do tak charakterystycznej sobie spokojnej codzienności.

Analizując ów jubileusz z dystansu czasowego lat kilkudziesięciu, należy analizy tej dokonać w dwu aspektach: naukowym i społeczno-politycznym. Zastrzec jednak należy, że ze względu na ograniczone ramy artykułu, analiza ta będzie i niepełna i dość pobieżna. Niewątpliwie uznać należy, iż od strony naukowej jubileusz 1900 roku zapisał się pozytywnie i dość trwale w historii uczelni. Już w 1896 roku zawiązał się komitet wydawniczy pod przewodnictwem profesora Kazimierza Morawskiego.

Jego zadaniem było przygotowanie całego cyklu prac i wydawnictw. Owocem pracy wielu uczonych było wydanie szeregu źródłowych opracowań i monografii, by wymienić tylko do dziś będącą w użyciu, ze względu na ogrom zawartych w niej faktów, dwutomową „Historię Uniwersytetu Jagiellońskiego” pióra Kazimierza Morawskiego, czy 5-tomową „Historię literatury polskiej” autorstwa Stanisława Tarnowskiego. Na jubileusz wyszedł specjalny Rocznik Towarzystwa Miłośników Krakowa, obejmujący zbiór monografii z zakresu życia i rozwoju Uniwersytetu. Specjalne prace na jubileusz przygotowali tacy profesorowie, jak Ludwik Finkel, Stanisław Kętrzyński, Stanisław Estreicher, stanowiący wskazze w owych latach Parnas polskiej nauki historycznej, na pracach których kształcał się jeszcze dzisiaj pokolenia studentów.

Szerzej nieco wypada scharakteryzować stronę społeczno-polityczną omawianego jubileuszu. Na początek uzmysłowić trzeba fakt zasadniczy: jubileusz organizowany i obchodzony był pod egidą konserwatystów krakowskich, zwanych Stańczykami, których pierwszym luminarzem był ówczesny rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, hrabia Stanisław Tarnowski. Stańczycy nie stanowili jakiegś partii w dzisiejszym tego słowa znaczeniu. Był to raczej zwarty i ekskluzywny klan, powiązany węzłami pokrewieństwa, współzyciem towarzyskim i działalnością polityczną. Znaczna część Stańczyków odgrywała jednocześnie jak najbardziej wpływową rolę w krakowskich instytucjach naukowych. W praktyce sprowadzało to fakt, iż Uniwersytet stanowił ich narzędzie. Co prawda odpierali oni na wszelkie możliwe sposoby ten zarzut, a samemu jubileuszowi odmawiali charakteru politycznego, określając go jako ściśle przedmiotowy, a przez obecność oficjalnych gości z Wiednia, w osobach ministrów Hartla i Piętaka, co nazywał organ konserwatystów „Czas”. Jednakże biorąc pod wzgląd kroki czynione choćby przez samego Tarnowskiego już przed jubileuszem, zwłaszcza jego podróż w maju 1900 roku do Budapesztu i złożenie przed

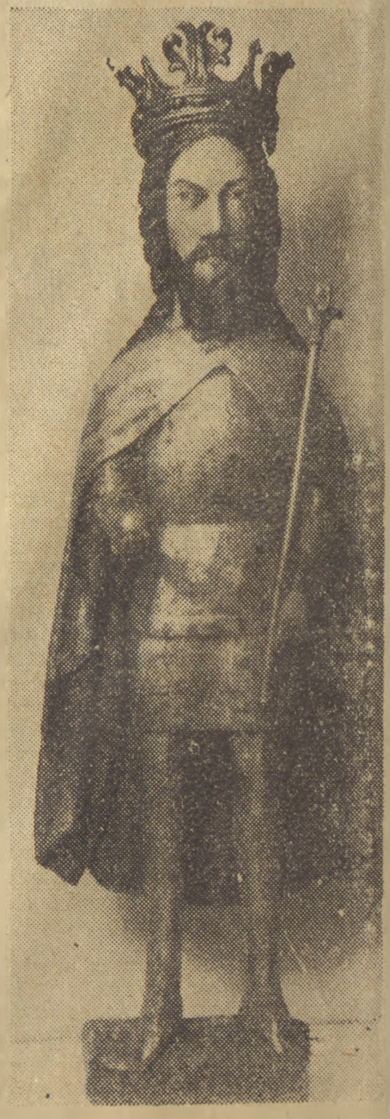
bawiającym tam cesarzem Franciszkiem Józefem wiernopoddanego adresu imieniem Uniwersytetu z powodu jubileuszu 500-lecia, trudno nie dojrzeć konsekwentnego zamysłu: jubileusz miał dostarczyć jeszcze jednej okazji do zaimplementowania ultraojalistycznej postawy obozu zachowawczego wobec Wiednia, obozu złożonego w znacznej części z uniwersyteckiej profesury. Miał też jubileusz przez swój charakter, jaki nadali mu Stańczycy, podzielać uspokajającą na czynniki oficjalne w Wiedniu, że Uniwersytet nie ulegnie wpływowi prądów radykalnych, które w tym czasie zaktywizowały wyraźnie swoją działalność na terenie Galicji.

Nad zadaniem tym żwawo zakrzętnęli się krakowscy Stańczycy, a szczególną energię i gorliwość, jak to mieliśmy okazję już poznać, wykaźali ich przywódca, rektor hr. Tarnowski. Postanowiono wykorzystać jubileusz jako szczególny moment do zaznaczenia, że Uniwersytet jest w pełni lojalny wobec Austrii i cesarza Franciszka Józefa, że stoi wiernie na straży zasad konserwatywnych. I choć głoszone wspomnianą już przedmiotowość i apolityczność jubileuszu, to jednak wymowa faktów z samego obchodu jubileuszowego zaprzeczala zupełnie tej demagogii. Za przykład tego służyć może chociażby lista osób obdarzonych doktoratami honorowymi ustaloną przez Senat Uczelni. Pozbawiona ona była zupełnie nazwisk uczonych, mających olbrzymi wkład w naukę zarówno polską, jak i światową tylko dlatego, że byli oni wyrazicielami poglądów lewicowych i liberalnych.

Apolityczne miały być też mowy reprezentantów Uniwersytetu podczas uroczystości jubileuszowych. I faktycznie starannie unikano w nich poruszania kwestii narodowych i socjalnych. Tak bowiem rozumiano wśród Stańczyków apolityczność. Lecz czymże, jak nie służalczo-politycznym pokłonem w stronę tronu Habsburgów, było wywieszenie na gmachu Collegium Novum dużych rozmiarów chorągwi z dwugłowym „Reichsadlerem”, pomysłu ponoć samego rektora Tarnowskiego. Czymże, jak nie wyznaniem politycznego, właśnie politycznego credo Stańczyków była ta część mowy tegoż Tarnowskiego, wygłoszonej 7 czerwca w kościele św. Anny, poświęcona osobie Franciszka Józefa. Hołdownictwa w tonie, wynosząca cesarza na piedestał największego po założycielu Uniwersytetu dobrodzieja uczelni i zakończona trzykrotnym okrzykiem: „Franciscus Josephus Augustissimus Imperator vivat!” — zabrzmiała jak echo pamiętnego „przy

Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy” — z grudnia 1866 roku.

Przytoczone fakty padają głębokim cieniem na uniwersytecki jubileusz 500-lecia odnowienia Wszechnocy. Dzięki jednak wysokiej randze Uczelni, autorytetowi zdobytemu na polu wiedzy oraz świadomości, iż była to najstarsza i w tym czasie jedna z nielicznych polskich uczelni, uroczystości jubileuszowe wywołały pewien dodatni odgłos w społeczeństwie, wpłynęły niewątpliwie na pobudzenie narodowej dumy Polaków.



Fot. Gumula

UNIwersytet A USTRÓJ SPOŁECZNY

Uniwersytet od zarania swoich dziejów wypełnia w społeczeństwie dwie podstawowe funkcje: jest — po pierwsze — ośrodkiem pomnażania czołowej nauki i kulturalnego, po drugie — instytucją przekazującą pewnej grupie ludzi określony zasób, ujęty w dyscyplinę, wiedzy. I zadania te realizuje w rozmiarach, na jakie pozwala mu panujący porządek społeczny, obowiązujące normy.

Uniwersytet może sprostać swojej roli ośrodka twórczości naukowej tylko wówczas, gdy ustrój społeczny nie narzuca uczonemu arbitralnie założonych rozwiązań w ich dociekaniaach poznawczych. Feudalizm stworzył szkołę wyższą, ale stworzył ją dla siebie, swoim podporządkował interesom, nie dając możliwości swobodnego, nie uprzedzonego dochodzenia do prawdy. Nic tedy dziwnego, że w wypadkach, gdy nowa prawda, nowa myśl zwracała się przeciw istniejącemu stanowi rzeczy, była dyskryminowana. Wiedza poddana była całemu zespołowi najróżnorodniejszych środków kontroli, a jeśli te zawodziły, nie wahano się przejść do zdecydowanej i otwartej walki. Ta skostniała i zastała w swoich poglądach formacja społeczna nie umiała adaptować nowych zjawisk, nie potrafiła zmieniać swego oblicza.

Mimo pozorów nie dał nauce pełnej wolności również kapitalizm. Wprawdzie zmieniły się, złagodniały metody kontrolowania myśli, ale samo zjawisko pozostało. Jedynie przyrodoznawstwo nie było krępowane przez panujący ustrój, natomiast nauki społeczne pozostają pod presją „mieszczańskiego systemu wartości, ich horyzont poznawczy ograniczany jest światopoglądem burżuazji.

Pełny, swobodny rozwój nauki jest możliwy tylko w sytuacji, gdy społeczeństwo nie dzieli się na dwie zasadnicze klasy, wyzyskiwanych i wyzyskujących. Tylko w bezklasowym ustroju uniwersytet może spełniać bez żadnych ograniczeń swoją rolę ośrodka twórczości naukowej. Taką świadomość i możliwość jej urzeczywistnienia przyniósł ze sobą ustrój socjalistyczny. W jego programie kultury niezmiennie

figuruje hasło swobody badań, swobody poszukiwań naukowych. Socjalistyczna organizacja społeczeństwa daje też pełne gwarancje — co jest rzeczą bodaj najważniejszą — że hasło to będzie realizowane.

Drugą swą funkcję, dydaktyczną spełnia uniwersytet na szerszym polu, angażując stosunkowo poważną część społeczeństwa, a przy tym efekty owej działalności mają ogromne znaczenie społeczne. Kryterium doboru słuchaczy wyższej uczelni zawsze było klasowe. Siegnijmy po przykład nam najbliższy, do Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wprawdzie w dyplomie fundacyjnym czytamy: „...niechaj otworzy się orzeźwiający źródło, a z jego pełności niech czerpią wszyscy naukami napoić się pragnący” i nikt później deklaratywnie przez Kazimierza postanowionej powszechności Studium Generalnego nie podważał, ale obwarowano ją dodatkowymi warunkami, które sprawiły, iż z możliwości uzyskania dyplomu szkoły wyższej mogły korzystać tylko klasy uprzywilejowane. Ich potrzeby nie zawsze można było nazwać poznawczo-naukowymi; częściej chodziło o „nabywanie kultury”, o podbudowanie i ugruntowanie pozycji społecznej. Uniwersytet pogłębiał więc różnice, które w klasowej strukturze społecznej już istniały, przekazując nierzadko wiedzę wygodną z punktu widzenia warstw rządzących. Dobór słuchaczy gwarantował pełne owocowanie takiej wiedzy.

Z klasowym kryterium doboru słuchaczy wyższej uczelni można było zerwać dopiero w ustroju socjalistycznym. Uniwersytet otwarto i służy wszystkim tym grupom społecznym, dzięki którym może istnieć i działać. Postulat sprawiedliwej selekcji słuchaczy dyktowany jest motywami moralnymi i względem na dobro nauki. Nareszcie zasada powszechności jest w pełni realizowana, nareszcie nauka korzysta z pełni nie uszczuplanej swobody.

b. lag.

Cuda, łaski i dobrodziejstwa co przedniejsze w świecie, jokie się stały, jeden nad pomocnikiem od gadzin napastowanym i przedziwnie z oppressyi eliberowanym drugi nad jednym człowiekiem dotkliwie od boleści umęczonym a potem uzdrowionym, a oba za fortuną przyczyną KURYERA AKADEMICKIEGO, jako sami z czytania zrozumiecie.

Wybrał i cum licentia Superiorum pod prasę podał Marek K. z Częstochowy.

Umyślny wysłannik z kraju Afrykańczyków donosi: Wiele już razy wślizgiwały się węże do naszej chaty. Sadowiły się już to w kącie pod wiązką trawy, już to pod łóżkiem; gdy się do nich zbliżano albo gdy poczuły, że są spostrzeżone, uciekały. Razu pewnego nasz mały pomocnik zamiał chatę. Wtem natknął się na jakiś miękki zwinięty przedmiot. Był to ogromny wąż. Wściekły, że mu przerwano spokój, wyprężył się i ściga przestraszonego chłopca, zaczęło owijać się naokoło jego nóg, potem wokół całego ciała, chcąc go udusić w potężnym uścisku. Przerażone dziecko wydało rozpaczliwe krzyki, woła o pomoc, szamocze się... Próżne wysiłki! Szczęściem usłyszeliśmy te bolesne i pełne trwogi wołania i przybyliśmy śpiesznie. Jednemu z nas, uzbrojonnemu w gruby kij, owinięty na końcu egzemplarzem **Kuryera Akademickiego**, który uprzednio otrzymaliśmy z ojczyzny, udało się silnymi ciosami w łeb obezwładnić i zabić strasznego boja. Pomocnik był na wpół martwy ze strachu; drżał na całym ciele. Uwolniliśmy go rychło ze strasznego uścisku, ale było potrzeba dłuższego czasu, by zupełnie ochłonął z przerażenia. Innym razem tym samym sposobem udało się nam zabić strasznego gada, prostego jak słup, z iskrzącymi oczyma, ziejącą paszczą i wyciągniętym żądłem. Jest to wprost cudownym, że w tych wszystkich przygodach nie było poważnego wypadku. Jesteśmy przekonani, że nie ma na węże i inne gady i płazy skuteczniejszej broni nad kij gruby, owinięty na końcu egzemplarzem **Kuryera Akademickiego**.

(Dalszy ciąg na str. 6)

Na posiedzeniu Komisji Oceny Projektów Inwestycyjnych w Sali Portretowej MRN w dniu 10 marca 1964 roku główny projektant miasteczka studenckiego, Osiedla Dwudziestolecia PRL, kierownik Katedry projektowania budynków mieszkalnych Politechniki Krakowskiej, doc. dr TOMASZ MAŃKOWSKI przedstawił do omówienia i zatwierdzenia założenia projektowe tej potężnej inwestycji. W posiedzeniu wziął także udział poseł LUCJAN MOTYKA, który jest przewodniczącym Komitetu Budowy tego miasteczka.

Miejsce, owszem — korzystne. Właściwie trudno lepsze wymarzyć. Najzdrowsza, najczystsza, najbardziej zielona i słoneczna część Krakowa. Nawet jeżeli przyjmemy, że w niezadługim czasie, powiedzmy — za lat dziesięć, zagęści ją 12-tysięczna rzesza — i wtedy sytuacja zdrowotna nie ulegnie zmianie. Wszak nikt nie ma zamiaru likwidować Parku Jordana ani terenów sportowych „Wisły”.

Znaczna liczba spośród 20 tysięcy krakowskich studentów dusi się w trudnych warunkach domów akademickich, rozrzuconych w obrębie Wielkiego Krakowa. Trudności ko-

W tej chwili istnieje w Krakowie 27 domów akademickich. Ludzie, którzy w nich mieszkają, często po krótkim czasie nie zdają sobie sprawy, że są „inni”. Stylem bycia, ubiorem, żargonem, mentalnością, sposobem podchodzenia do wielu spraw. Na tym tle dochodzi do nieporozumień ze społeczeństwem, czego dowodem mylne opinie o studentach; niektóre artykuły w prasie często pomagają w tworzeniu się i gruntowaniu raczej mitów niż prawdy. Nie rozumiem się, bo nie chce się rozumieć, że każda odrębna społeczność, a w szczególności studencka, rządzi się odrobiną innymi prawami. Kwestia zastosowania swoistych kryteriów ocen byłaby przydatna w wartościowaniu tego, co w tym względzie „dobre”, a co „złe”.

Przepraszam za wygłaszane tu truizmy, ale codzienna rzeczywistość przekonuje nas, że od czasu do czasu trzeba i to przypomnieć. Chcę wykazać, iż przeniesienie wszystkich mieszkańców domów studenckich z całego miasta w jedno miejsce sytuację z pogranicza studenci-społeczeństwo (podział sztuczny, ale często dostrzegalny) tylko polepszy. Kontakty nadal pozostaną żywe; po prostu będzie się „chodząc do studentów”. oni „wyjda w Kraków” dziesiątki razy dziennie, a jednocze-

Zbigniew Święch

Przyszłe miasteczko studenckie zostanie zlokalizowane w rejonie ul. Reymonta, Piastowskiej i Czarnowiejskiej. Ze względów praktycznych budowę, która potrwa kilka lat, podzielono na dwa etapy. W pierwszym zrealizuje się najniezbędniejsze obiekty: oprócz domów dla 6000 studentów, stołówek, dawno oczekiwany w Krakowie Studencki Dom Zdrowia z małym szpitalem na 120 łóżek, obiekty handlowo-usługowe i mieszkania dla personelu. Ogólny koszt budowy I etapu osiedla-kołosa wyniesie ponad 200 mln. złotych.

W drugim etapie powstaną pomieszczenia mieszkalne dla dalszych 6000 studentów, Studencki Środowiskowy Dom Społeczny, a w nim klub, kinoteatr i lokale samorządu miasteczka oraz zaplecze sklepowe, usługowe, rzemieślnicze, księgarnie, pływalnie itd.

Dyskusję wywołuje projektowany system mieszkań studentów i związany z tym problem umiejscowienia zespołów sanitarnych. Dotychczasowy normatyw przewiduje 1 zespół sanitarny dla 75 osób. Druga wersja projektu, oparta na systemie tworzenia 10-osobowych „rodzin” (zestaw pokoi 2- i 3-osobowych ze wspólnym urządzeniem sanitarnym), wydaje się być słusniejsza. Do jej wprowadzenia w życie przychylił się wszyscy członkowie KOPI.

Podstawowe założenia i projekt koncepcyjny I etapu zostały przez KOPI zatwierdzone. Budowa miasteczka rozpocznie się już w tym roku. W 24-miesięcznych cyklach budowlanych oddawać się będzie sukcesywnie do użytku poszczególne obiekty. Każdy nowy dom studencki, zbudowany na terenie miasteczka, będzie wyrównywał szansę w dostaniu się na studia młodzieży z małych miast i wsi województwa krakowskiego i województw sąsiadujących.

„Historyczna” klauzula zatwierdzenia, ogłoszona na zakończenie posiedzenia KOPI, brzmi:

„Zatwierdza się materiały przedłożone jako generalne założenia programowe miasteczka studenckiego w Krakowie, i wraz z założeniami projektowymi i koncepcją przestrzenną I etapu budowy (w zakresie zagospodarowania przestrzennego i budynków mieszkalnych)”.

*

Odpowiednik łacińskiej dzielnicy paryskiej — czy samoistna wyspa na krakowskim oceanie? Trudno dziś snuć śmiałe horoskopy, jeśli teren, o którym mowa, porasta jeszcze dosyć bujnie trawa.

munikacyjne i mieszkaniowe bynajmniej nie sprzyjają prawidłowemu przebiegowi studiów. „Rozerwany” dzień, przedzielony krótkimi zajęciami na uczelni i poza nią dopełnia miarę. Napięte nerwy, niedojadanie, załatwianie wszystkich spraw dosłow-

nie w biegu; tablice wzorstu nerwic i chorób pochodnych — do wglądu w każdej przychodni lekarskiej akademickiej służby zdrowia.

I w takiej sytuacji pojawia się śmiała myśl zbudowania już dla najbliższych studenckich pokoleń — miasteczka. Jedyne w tej chwili,

realnego sposobu wyjścia z impasu. Decyzja zapadła. Budujemy.

Piszę „budujemy”, bo to sprawa wszystkich studiujących w Krakowie. Nasi koledzy z kół naukowych Politechniki pomagali w projektowaniu, my wszyscy włączymy się czynnie — minimum 7 dni w roku — do pomocy w układaniu cegieł.

śnie zachowują dla siebie idealną swobodę poruszania się w miasteczku, u „siebie w domu”. Być może i mity zanikną albo na ich miejsce zrodzi się szlachetna legenda o „tych młodych z miasteczka”.

Studenti — wielki potencjał możliwości w skali środowiska — zgru-

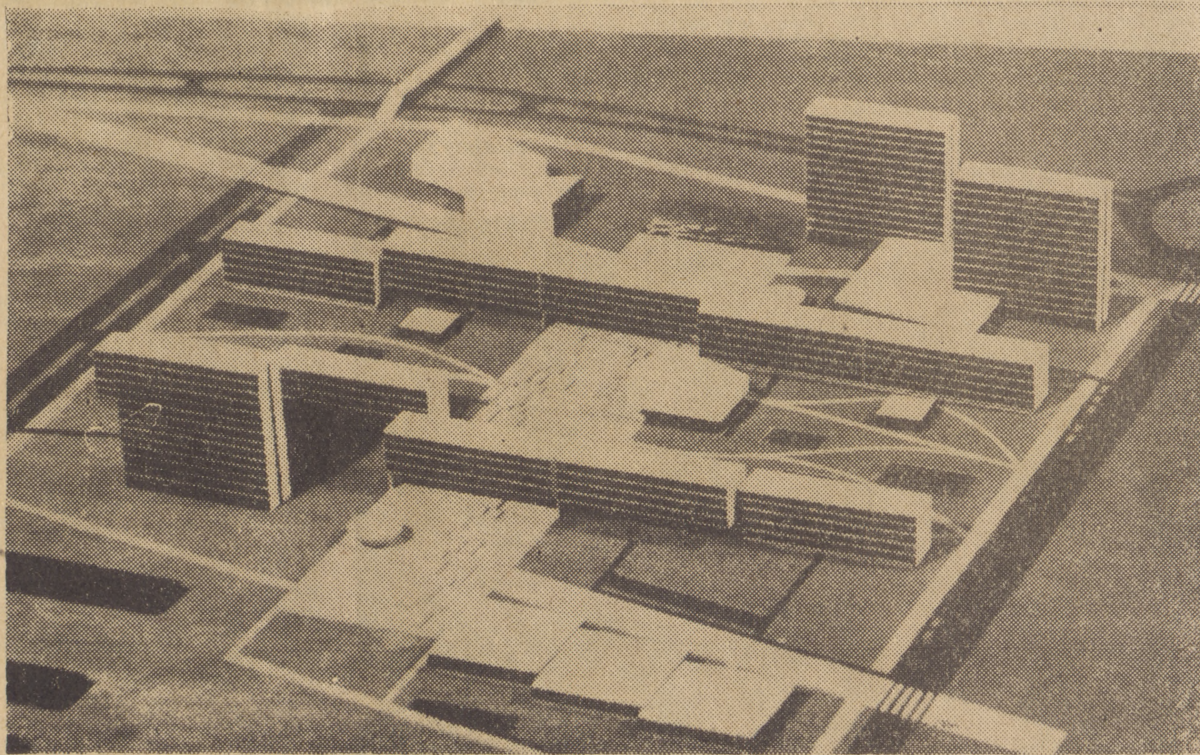
powani w określonym terenie, zapewne potrafiały w większym stopniu, niż czynią to dziś, wypracować własny styl. W stosunkach między sobą, w wytwarzaniu tzw. dóbr kulturalnych, a także w naukowym rozwoju. Będzie to dzielnica nieco inna, wyraźnie odróżniająca się, młoda, barwna — przez to wstysko

STUDENCKIEJ

DZIELNICY

Cyfry i fakty z założeń projektowych znamy, argumenty „za” — także. Pozostaje do rozstrzygnięcia tylko problem socjologiczny i wątpliwości tych mieszkańców Krakowa, którzy w umiejscowieniu studentów na „zamkniętym” obszarze widzą niebezpieczeństwo wyobcowania się tej prężnej społeczności. Społeczności, tak mocno związanej dotychczas z „resztą” krakowian, i — co tu ukrywać — często nadającej ton owej reszcie.

sympatyczna. Studenti między sobą potrafiały utrzymać wewnętrzny porządek (przykładem samorządność w domach akademickich); przy tym nie gorszy ich fakt drobnych uchybień, potrafiały wiele sytuacji rozumieć. Dyscyplinę wewnątrzdzelnicy cowa załatwił samorząd miasteczka i sądy koleżeńskie. Poza tym trzeba będzie patrzeć na studentów, mieszkających w obrębie miasteczka, jako na normalnych ludzi. To wszystko.



KORZYSTNY MEZALIANŚ

czyli dziwy naszego miasta

Można obchodzić różne rocznice, nikomu jednak, nie wiadomo czemu, nie przyszło na myśl obchodzenie rocznic niezmienności swoich poglądów. Zwłaszcza w Krakowie (tradycja, historia) co drugi starszy pan może i ma prawo obchodzić stulecie niezmienności swoich poglądów i przekonań. Ta potencjalna możliwość jubileuszu dotyczy nie tylko i nie przede wszystkim emerytalnych mieszczan krakowskich (jest tu oczywiście i szlachta — ostatnio słyszało się rozmowy na temat, jaki to piękny był ich ślub w Katerze wawelskiej i sam biskup... a ona to w ogóle nie z tej sefry. Zabrała mężowi sygnet z herbem i teraz się chwali, rozmawiające dziewczyny były podniecone i, co gorsza dla naszej współczesności, zazdrośne), ale ich starzejących się już potomków, tych najlepiej poinformowanych doktoro-mecenasów... Wiemy dobrze o ich istnieniu, nie wiedząc właściwie wiele. Ich obecność wyczuwa się raczej z pewnej specyfiki atmosfery...

Każdy przybysz poszukuje klucza do tych towarzyskich instancji w Krakowie. Podaje ten klucz zainteresowanym — oportunistom należymy w Krakowie do dobrego tonu. Wybierać w formach można do woli, najlepiej zresztą wybrać tę, która dobrze przylega do prezentowanego poziomu inteligencji — od bogobojnego psioczenia i klęcia do skomplikowanych „wypowiedzi okrężnych”, żeby jednak te ostatnie poznać, trzeba przejść przez szkołę panów, którzy niekiedy występują w bardzo długich marynarkach koloru czarnego, zapinanych na wiele guzików z przodu. Kiedy już wam uwierzą (a okres kandydacki też tam istnieje), odkryje się wtedy przed wami kraina tych tajemnych powiązań, macie do dyspozycji przyjazny i niemożliwy do uzyskania dawniej uśmiech autorytetów, macie do wglądu mroczne przepaście pokoi zastawionych dworkowymi jeszcze meblami; och! nie przerażajcie się, macie bowiem towarzyszy, wielu waszych tajemniczych i bezkarnych dotychczas kolegów — to oni tu, myślicie sobie, ach! myślicie sobie, i zaraz nadochodzi was zaduma nad tym dziwnym krajem, który się wokół rozciąga.

A teraz już ze zdobytego punktu (pozycji w świecie) spojrzmy w dół (jak Hrabia Henryk z wałów św. Trójcy w dolinę wojsk rewolucji — nie wymagam od was wiele, drodzy państwo, wszak to lektura z XI kl.): to ONI... i tam jeszcze paru niedowarzonych młodzików, którzy powinni zmądrzeć z dnia na dzień; jeszcze dalej zastępy niemożliwej młodzieży, której zadaniem jest wykołanie dzieci z dobrych rodzin. Ale nawet najbardziej skonwencjonalizowane młode panienki (konwencje mogą być różne, picie wody to też konwencja), ponieważ są młode, mają obowiązek pobuntować się trochę; buntują się więc, czasem strachliwie, ale i z wielką arogancją też. Bunt wymaga zmiany pozycji, ale tam, po przeciwnej stronie są ONI, więc tam iść nie wypada i już. Puścić się z jakimś bublekiem wypada (jest w tonie), wstąpić do ZMS np. to

prawie taka sama autoobelga, jak przejście przez A-B bez ortalionowego płaszcza na torsie. Pozostaje tylko jedno wyjście, ci niezrozumiali. Tam można mówić brzydkie wyrazy, bo jest to uzasadnione filozoficznie (ludzie sfrustrowani przeważnie okropnie klną — taki objaw psychofizjologiczny), zna się poza tym tego i tamtego „artystę”, albo przynajmniej jego kolegów, zyskuje się przez to rangę i zaraz można się buntować, zarówno co do szerokości spodni, jak i krótkości spodniczek.

I jak tu, w takiej sytuacji, zrobić dobre przedstawienie eksperymentalno-młodzieżowe. Tu tradycja epigonów Piwnicy uprawiana przez najdrobniejmiejszańskie psychiki czyha, a tam akademia ku czci straszy. Tu boimy się pozorów, a tam drętwy.

Dotychczasowe doświadczenia z kulturą studencką wykazały, że szło się zwykle na tę nowoczesność pozorów artystycznych wtajemniczeń, nowoczesność epigonów. Można bowiem być Kantorem, Skrzynickim czy Mroźkiem, ale nie można być w naszych warunkach epigonem któregośkolwiek (tak jak można być epigonem Kraszewskiego). Wszystkie rocznice natomiast zalałwały zespoły przy pomocy Majakowskiego i Broniewskiego. Taka była mniej więcej sytuacja. Poza tym z wyżej wymienionych przyczyn nie wypadało nie być defetystą (pozornym), jeżeli się już było zaangażowanym.

A teraz proszę sobie wyobrazić, proszę państwa — w tym straszącym zakamarkami Blestonie (Butor to obowiązkowa lektura egzystencjalistów — czytajcie młodzi!) — po-



wiedziano (raczej zaśpiewano) kilka ciepłych słów o Związku Radzieckim! Bez rocznic i bez pretensji! Zakrawa to na cud (w Krakowie częste — ostatnio był cud koło mostu dębickiego, nawet kapliczkę postawili, ale biskup nie uznał, pewnie ONI mu kazali). Tak jednak jest w istocie, powiedziano kilka ciepłych słów o Związku Radzieckim w studenckim teatrze i to bez okazji rocznicy. Trzeba to powtórzyć, bo warto. Ale to nie wszystko, jest jeszcze lepiej. To, co powiedział Te-

atrzyk Piosenki UJ w „Słowie o przyjacielu”, powiedziane zostało umiennie i ładnie. Najważniejsze jednak jest to, że powiedziane zostało umiennie. Jak to zrobiono? Przypominam jeszcze raz atmosferę Krakowa, następnie weźmy pod uwagę tradycję Piwnicy jako nakaz mody i dopuszczalną przez kleryków formę buntu potomstwa (nie ma w tym winy Piwnicy — byli i zostaną dobrymi współczesnymi artystami), a z drugiej strony zrobmy

(Dokończenie na str. 5)

Leon Pawlik

O „CYRULIKU” — SERDECZNIE

„Jeśli uparliście się, żeby przyjąć na nasz program, to przyjdzie. Nie radzimy jednak; możecie przecież iść do kina lub do teatru. Np. w teatrze Słowackiego też dają niezłe rzeczy. My też wolelibyśmy pójść do teatru, niż wyglupiać się na scenie. Niemniej zrobimy to dla Was i przyjdziemy w komplecie na przedstawienie pt...”

Słowa te miały z afiszów „zachęcać” publiczność do przybycia na spektakl „Cyrulika”. Nie były potrzebne, publiczność waliła drzwiami i oknami do salki Yacht-Clubu na Powiślu. Bezcenna i przekorna apoteoza nie mówiła też prawdy. Cyrulikowcy nie oddaliby sobotniego, czy też niedzielnego przedstawienia za żadną atrakcję; trudno bowiem odmówić sobie przyjemności wystąpienia na scenie przed swoją publicznością. A nie była to publiczność zwyczajna, o nie. Gdzieś na przykład jest do pomyślenia, by sala nabita po brzegi czekała cierpliwie i w milczeniu całą godzinę na przybycie bezbłędnie spóźniającej się komisji, która kwalifikowała zespół studencki na ogólnopolski festiwal w Gdańsku. A po godzinie drętwienia w ścisłu, przez dalsze dziewięćdziesiąt

minut, dodawano zdenerwowanym aktorom otuchy oklaskami, które słychać było chyba aż gdzieś na skłach Twardowskiego. (Po wodzie głos się dobrze niesie, jako że było to na Powiślu — przyp. aut.) Nie lada to była sztuka zyskać w tak krótkim czasie przyjaciół i uznanie dla kabaretowej muzy — w amatorskim wykonaniu. Pisała Red. Krystyna Zbińska w „Dzienniku Polskim”: „Zakalec Wawelski — to już nie tylko doskonała zabawa, ale i niekiedy wręcz znakomita robota artystyczna. Dowcipne (w większości) teksty, przyprowadzające nawet wyrobionych artystycznie odbiorców o szczery śmiech, świeże, a zaskakujące w swej prostocie pomysły inscenizacyjne, w kilku wypadkach świetna interpretacja — a do tego wszystkiego wdzięk, urok i humor młodości. Czegoż więcej potrzeba?”

Czegoż więcej potrzeba... Należy chyba autorowi tego artykułu (który na własnych plecach nosił belki i deski pod budowę zrębów kabaretu) wybaczyć westchnienie.

To był zespół! No bo jakże inny zostawał nie mieszcząc się na autobus dekorację beztrósko opartą o ścianę dworca, by w nocy wysłać



z Zakopanego delegację, która transportowała niezbędny grat pociągami. Tylko „Cyrulik” mógł w końcu dokazać sztuki zagubienia w rozlicznych wojachach swej dekoracji, która choć popękana i nadgryziona zębem czasu, nie była przecież igłą (5.5m x 2,5 m i dobre 100 kg wagi). Tę „Cyrulik” przynosił na bankiety, kończące festiwale w Domu Medyka

w Warszawie, co najmniej trzydziści butelek wina, na własny skromny użytek. A było cyrulikowców tylko siedemnastu... Przyczynili swej Akademii Medycznej sławy niemało, choć może nie tyle, co inni wybitni wychowankowie (np. Szymon Syreniusz, Walenty Fontana, Anselmus Ephorus i in.). Kabaret Medyków powstał w okresie, gdy nie było w Krakowie studenckiego zespołu o takim charakterze. Programy oparte na własnych tekstach zrodziły się w trudnych warunkach, bez sali do prób. Marzenie zespołu o własnym lokalu nie spełniło się nigdy.

Był „Cyrulik” zespołem w całym znaczeniu tego słowa międzyuczelnianym. W skład jego wchodził, w różnych okresach działalności, studenci wszystkich uczelni Krakowa (z wyjątkiem może jedynie WSR); trzon stanowili oczywiście medycy.

Kabaret Medyków „Cyrulik” reprezentował swoje miasto, swoją uczelnię na sześciu przeglądach zespołów studenckich i chyba nie przyniósł wstępu. Widziała go publiczność Warszawy i Gdańska, Gliwic, Katowic, Wrocławia i Częstochowy, zawędrował nawet gdzieś w olsztyńskie. Występował na otwarciu nowej „Stodoły” w Warszawie przy ulicy Trębackiej. Pisał „Sztandar Młodych”: „Cyrulik zrobił w Warszawie prawdziwą furorę. Jego występom towarzyszyły nieustanne salwy śmiechu.” Oglądali również „Cyrulika” telewizorze, radio niejednokrotnie nagrywało jego piosenki, by wspo-

mniej choćby najpopularniejszego „Konia na biegunach”. W sumie w ciągu trzech lat dał sto kilkadziesiąt występów.

Za kilka miesięcy obchodzić mógłby jubileusz pięciolecia. Nie będzie uroczystości, bo nie ma zespołu. Takie już prawo natury — że nie można wiecznie być studentem. Porozjeżdżali się cyrulikowcy we wszystkie strony, leczą, usuwają zęby, robią lekarstwa. Nie zapomną jednak napiętej atmosfery festiwali, galewych przedstawień, zarwanych nocy, radości udanej premiery. Nawet Ewa Demarczyk na łamach „Dookoła Świata” mile (choć nieco protekcjonalnie — ale to zrozumiale) wspomina „Cyrulika”.

Zebrało się trochę zdjęć i wcale pokazywać plik wycinków z recenzji. Nie wszystkie są oczywiście tak pochlebne, jak przytoczone powyżej; ponieważ de moritis aut bene, aut nihil, te drugie pominię. Zmścił się błąd „Cyrulika” — nie wychował sobie następców. Jeśli znajdują się tacy, należy im życzyć powodzenia w trudnej pracy; nie by tak nie ucieszyły starych „weteranów”, jak wiadomość, że „Cyrulik” istnieje i że dobrze i nim mówią...

Koledzy medycy, jeśli zajmiecie opuszczone miejsca, przekonacie się, że w miarę upływu czasu nabierze pewnego sensu umieszczenie na jednym z cyrulikowskich afiszów autoironiczna maksyma. A brzmiała ona: „Mówcie o nas co chcecie, a my i tak jesteśmy przyszłością narodu”.

SŁOWIAŃKI

Zaczęło się od lektoratów języka serbochorwackiego na krakowskiej sławistyce. Był rok 1958. Właśnie

wrócił świeżo z Jugosławii mgr Zdzisław Wagner, asystent serbokro- atystyki na Uniwersytecie Jagiel-



lońskim, przywoząc prócz opinii zagrzebskiej prasy studenckiej o „Polaku, który przemierzył 14 tys. km i zawarł znajomość z 14 tys. dziewcząt, świetną znajomość i żarliwe umiłowanie jugosłowiańskiego folkloru. Miłość tę zaszczerpał u wszystkich, którym dane było trafić na jego ćwiczenia. Zawsze w ramach półtoragodzinnych zajęć musiało się znaleźć przynajmniej kilka minut na obejrzenie jakiejś części bogatych Wagnerowych łupów, będących plonem jego pobytu na południu — zdjęć, reprodukcji strojów ludowych, nut czy innych kuriozów. Z czasem nuty wyparły wszystko inne; a gdy jeszcze znalazł się tambur, można było zacząć śpiewać. Ostatni kwadrans ćwiczeń stał się powoli czasem już omal urzędowo przeznaczonym na wyuczenie nowej piosenki. Tak kielkowały zalążki chóru słowiańskiego. Po jakimś czasie zarażone przez Wagnera urokiem jugosłowiańskiej pieśni ludowej grono studentów zaczęło się spotykać w budynku przy ul. Gołębiej wieczorem; lektorat już nie wystarczał do „wypiewania się”. Skąpa garstka sławistów powiększyła się powoli o młodzież z innych filologicznych sekcji, głównie o polonistów; ci pierwsi sprowadzali swoich znajomych, znajomi

dalszych znajomych itd. Osobno agitował Wagner z asystenckiego urzędu; znikome szanse na wypożyczenie książki z biblioteki seminaryjnej miał ten (zwłaszcza ta), kto mu nie przyrzekł, uprzednio, że przyjdzie na najbliższą próbę. Stąd już tylko jeden krok do stałych prób i systematyczniejszej pracy. Artystycznie Wagnerowi waleń pomógł organizator Grum, podówczas student filologii serbochorwackiej; w wyniku tego mariażu już w niecały rok później gotowy, ukształtowany zespół mógł dać swój pierwszy publiczny występ. Odbył się on 29. listopada 1959 roku na akademii z okazji Dnia Republiki (święto narodowe Jugosławii) w Międzynarodowym Klubie Książki i Prasy.

Rozwój zespołu od tego czasu najlepiej oddadzą liczby i fakty: ok. 75 występów, osiem i pół tysiąca przemierzonych kilometrów, ok. 45 tys. słuchaczy, siedem nagrań radiowych, by pozostać tylko przy tych najważniejszych. Zna ich Wybrzeże (Trójmiasto, Puck), Ziemia Zachodnie (Wrocław, Zgorzelec) i prawie cała Polska Południowa (od Wałbrzycha, przez Cieszyń, Zakopane, do Gorlic). A wszędzie rzęsiście brawa i serdeczne przyjęcie. Gościła ich Filharmonia Krakowska,

wnet będzie gościł Filharmonia w Bydgoszczy. W lecie 1961 r. na zaproszenie towarzystwa „Akademik” z Ljubljany byli w Jugosławii. Występowali m. in. w Belgradzie, Sarajewie, Dubrowniku i Ljublanie.

Jest ich łącznie 45 osób: 15 osób orkiestry i 30 dziewcząt — chór pod kierownictwem Józefa Jajki. Na repertuar składają się pieśni wszystkich narodów słowiańskich (śpiewają w 12 językach), z tego ponad połowę stanowią pieśni narodów Jugosławii. Te zresztą śpiewają najchętniej. Ciekawostka: mają w programie m. in. jedyną zachowaną obrzędową pieśń weselną Drzewian Polabskich, bardzo dowcipną, acz we fragmentach nieco frywolną.

Porają się często z trudnościami lokalowymi, z brakiem instrumentów i oryginalnych strojów ludowych, nut i taśm, nierażeni jednak dotąd, omijają dzielnie te przeszkody; są pięknym przykładem świadomego i owocnego popularyzowania w jednym przynajmniej zakresie braterstwa słowiańskich kultur ludowych.

BRACTWO ŻAKOWSKIE

Wiosną 1959 roku wśród studentów-chemików znalazł się jeden nietypowy. Zachciało mu się uprawiać alchemię. Poszedł tedy do ZSP i powiada, że warto by piwniczkę studencką otworzyć, a w niej sztuczki średniowieczno-alchemiczne uprawiać, wśród których rejestru przyrządzanie wina z korzeniami wg najlepszej XVI-wiecznej receptury jedno z poczesnych miejsc zająć miało. Ponieważ na drugiego nietypowego (polonistę) natknął mu się przytrafiło, łatwo już dalej dogadywać się poczęli. Stało na tym, że dobrawszy kilku godnych kompanów, żaków skrzyknąć postanowili, aby w kupę się zbierając, dawne zwyczaje i obyczaje żakowskie przypominać i krzewić.

Tak w alchemiczno-polonistycznej retorce stworzone zostało Bractwo Żakowskie. Ubogie to było dziecię, nie oprócz fantazji swych rodziców nie mające. Ale jak historia uczy,



a rozum potwierdza, i fantazyja wiele zdziałać może. Najpierw żacy Jerzego z Lublina Mistrzem swym

obrali i statuta Bractwa ułożyli. Stał więc na czele Bractwa Wielki Mistrz, a jemu Wielka Rada Tajna pomocną była. Reszta to gmin żakowski. Wszystkie te stany historię ulepszając w wielkiej zgodzie żyły. Kto by zaś zgodę ową naruszył, tego kat w opiekę brał, a reszta żaków beanem obwołała. Skarbiec Bractwa, że z dobrowolnych datków żakowskich tworzony był, pustotą zawsze straszył. Żacy często i chętnie alchemiczne eksperymenty czynili, wino z coraz różnymi korzeniami warząc.

Zdarzyło się jednak, że w którymś z większych miast mazowieckich — w Warszawie to chyba było, w piśmie jakowymś dla młodzi tamtejszej tłoczonym, złośliwa białogłowa złą sprawę Bractwu uczyniła. Uradzili tedy bracia, że samymi uciechami dobrego imienia sobie nie przysporzą. Pieśni żakowskich uczyć się zaczęli, stroje żakowskie gotowali.

Kiedy zaś Juwenaliów pora była coraz bliższa, jeśli żacy piękne widwisko gotować i do święta żakowskiego godnie się sposobić. Wesole to i przyjemne igry były. Bractwo w stroje piękne odziane, kupy się trzymając, gromadą po Krakowie chodziło. Dobrym okiem mieszczanie na to patrzyli, pochwał żakom nie szczędząc, iż za wzorem innej młodzi scholarskiej w nieprzystojnych strojach po ulicach nie latają i grubych figłów się nie chwytają, je-no godnie, a przecie uroczu święto swe fetują.

Misterium też żakowskie pięknie żacy sprawili, jeno poetów wielu za autorów tegoż się podawało,

z czym kłopot był nielada. Dopiero siostra Aldona z Przypadku (co na ironię wielką fizyką się parała) spór ów rozstrzygnęła, w imię panu Krakowskim autora misterium znajdując.

Wybrali tedy żacy Mistrza nowego, Wojciecha z Sanoka, chemika onego, co o skrzyknięciu Bractwa pierwszy z Jerzym z Lublina się dogadywał. Ten dwa lata w Bractwie sprawował władzę, mocną podporę w starszych żakach mając.

Siła ich było, toteż kronikarz imion żakowskich wszystkich spamiętać nie potrafił. Był tedy brat Wacław z Jaszcwi, był Gabriel B., był Tadeusz P., którego żonę w Bractwie znalazł, był brat Leszek, który po krótkiej z Bractwem komitywie poezję uprawiać zaczął, był wreszcie brat Wirus, którego od początku po dziś dzień władzą katowską przez Bractwo jest obdarzony.

Sióstr też mnogość wielka była, z których kilka na wieczne miejsce w Kronice zasłużyło. Była więc Hanka O. z Maricą P. i Jaską M., najlepsza część babska Bractwa tworząc. Im też Ewa P. i Jolka G. dzielnie sekundowały. (Tę ostatnią trefniś jakiś nawet Sławojką nazwać chciał).

Długo by tu trza było imiona braci naszej pisać, ale tu nie miejsce i nie pora po temu.

Nowsze czasy tym się w Bractwie zaznaczyły, że stany feudalne zmienione zostały, Bractwo zaś ukonstytuowano na wzór szeregów się w owych czasach łóz masonskich. Podzielone zostało na stopnie wtajemniczenia w sposób następujący: pierwszy stopień wtajemniczenia

Wielkiemu Mistrzowi jeno przysługiwał, drugi Wielka Tajna Rada tworzyła, trzeci brat żakowski starsza, czwarty zaś z beanoń się składał.

Z dalekich stron też żacy napływać zaczęli. W tych to czasach jeden żak z dalekiej Aferyki do bractwa przystąpił i po ciężkich próbach do trzeciego stopnia wtajemniczenia dopuszczony został. W rok potem za ocean wrócił.

Na pracę bractwa nowsze casy



wpłynąć jednak nie potrafiły. Przez jesień całą i długą wiosnę Bractwo jeno gwoi rozrywki się zbierało. Ale od tych por częściej niż uprzednio w kinematografie zaczęło Bractwo pokazywać a i gazety różne dłużej i przychylniej o żakach pisać zaczęła.

A kiedy brat Śmiwój z Kazimierza Mistrzem Bractwa został wybrany, głośno już było w świecie o wielkim Jubileuszu Akademii Krakowskiej.

Zaczęli więc żacy sposobić się do owego święta. Ciężkie to było zadanie żaków przymuszać, roboty różne

im przydzielając. Chętnie za to co tydzień na zebraniach się stawiali, aby czas na śpiewie i zabawach spędzić. Po dłuższych więc wysiłkach postanowiono żaków do pracy społecznej z ich naturą nie przymuszać, a tylko na okres Juwenaliów do uczciwej roboty zapędzać, co też żacy z ochotą czynili.

Częste jednak zmiany w bractwie następowały. Starzy w świat za chlebem poszli, z młodszych tylko nieliczni z sercem i ochotą do różnych

prac przystępowali. Nawet Juwenalia, święto młodych — dla młodych coraz mniejszą atrakcją było. Zresztą prawdziwie młodych ubywać zaczęło, co po słabości zabaw Juwenaliowych łatwo stwierdzić było można. Nastąpiło pokolenie, które śmiech za głupotę uważa a godziwą zabawą gardzi.

Trudne więc miał zadanie brat Artur z Kielc, który w rok przed Jubileuszem Mistrzem Bractwa został. Dobrze się stało, że usilną pracą z pomocą wielu przychylnych sobie braci Bractwo na nogi postawił i do Jubileuszu doprowadził.

Anna Wolnicka

POMOST

Rybacy z małej japońskiej wioski wyruszają na swą ostatnią wyprawę. Łodzie i sieci pozostały na brzegu. Rybacy oddalają się od morza. Niosą w sobie jego podarunek — cherobę promieniową. Zniszczą ją razem z własnym życiem. „Zginie, aby inni mogli żyć”. Dzwonek!

Nie dzwon na trwogę, tylko zwyczajny szkolny dzwonek. Elektryczny guzik przyciśnięty ręką woźnego. Teraz korowód dochodzi do lasu. Za chwilę las spłonie. Kiedy rybacy wspominają po raz ostatni swe drobne, codzienne radości, ich głosy giną w tupocie kilkunastoletnich nóg. Chłopcy w tym wieku muszą się wybiegać. To naturalne. Zanim zginie ostatni Suzuki, zanim padną ostatnie słowa ostrzeżenia, dzwonek jeszcze raz oddzwoni swoje, chłopcy pójda do klas.

Tak oto jeden z teatrzyków studenckich wystawia sztukę Wolfganga Wayreucha, poświęconą najbardziej palącemu problemowi współczesności — groźbie zagłady atomowej.

Aula jednego z krakowskich liceów, salka MDK, przestrzeń między filarkami a bufetem w klubie uczelnianym były miejscami kolejnych premier „Rezonansu”.

Przy pewnej dozie zlej woli można by udowodnić, że to, co robią dziewczęta i chłopcy z WSR, jest profanacją sztuki przez wielkie S, że w tych warunkach flirt z Mel-pomeną jest przyzwyczajony w granicach od Załuczyny do konferansjerszczyzny, których to granic trzymają się przezornie niektóre inne zespoły.

A Ci na pierwszy ogień wybierają „Świadków” Różewicza. Wygłaszają tekst z drabiny pożyczonej w DS-ie, zamiast reflektorów używają ręcznych żarówek, prywatną przystawkę magnetofonową jednego z kolegów podłączają do rozklekotanego psującego się co dwa dni radia. W dodatku nie zawsze potrafią wymówić poprawnie samogłoskę „e”, zniekształcając zbitki spółgłoskowe, wpadają w ton deklamatorski, poruszają się sztywno. Lista ich grzechów nie wyczerpuje się na tym. Pewna wytrawna znawczyni subtelności formalnych opuszczała przedstawienie z jękiem: „Okropność! Jakże można było tu się zatrzymywać! Należało co najmniej o dwa kroki dalej”. Ktoś inny ze słowami: „Takich rzeczy należałoby właściwie zabraniać”

powrócił do własnego systemu znecania się nad tekstem, polegającego na pozbawianiu go wszelkiego sensu, a „wzbogacaniu” o modne, podpatrzone u innych ornamenty.

Ja przyznam się jednak, wolę zwykłą nieporadność „Rezonansu” od takiej, acz uszmiłkowanej i krygującej się nieporadności np. „Salamandry”. Wolę staroświecką lojalność wobec tekstu od bezprzyczynowego grania „przeciwko” lub raczej „w poprzek” tekstu. Bo o ile eksperymenty Teatru 38 cechowały się dotychczas tak świeżością, jak i umotyłowaniem, o tyle wszelkim

próbom ich naśladowców brak było i jednego i drugiego. Bezcelowości takich wtórnych poczyniń śmiało można przeciwstawić konsekwentną zwyczajność „Rezonansu”, widoczną u nich dbałość o funkcjonalność środków w stosunku do treści. Jego spektakle nie stanowią strawy dla wymagającego i wyrobionego widza. Ale też i nie taki cel stawia przed sobą reżyser i zespół.

Głaskawiczna ankietka przeprowadzona wśród widzów wykazała: Wielu z nich ogląda przedstawienie teatralne po raz pierwszy w tym roku. Są wśród nich tacy, którzy



po raz pierwszy w ogóle wybrali się z własnej inicjatywy „do teatru” aby zobaczyć własnych kolegów.

Ot i cel. Zbliżyć tych ludzi z teatrem, stworzyć pomost między nimi a prawdziwym życiem teatralnym. I dać im nie namiastkę estrady, do której i tak trafia, a sztukę wypełnioną współczesną złożoną problematyką. Dla tych widzów nie istnieje zagadnienie zbitki spółgłoskowej. Chropowatość, niedoskonałość wykonania jest w ich wypadku nawet czynnikiem korzystnym. Nie pozwala przesiłnzać się zawodowymi gładzicielami ponad sens przedstawianej treści. I eliminuje czynnik w bardzo istotny sposób utrudniający odbiór — hamowanie spowodowane zbytnią wspaniałością wystawy. Świećność rekwizytów „Rezonansu” ogranicza się do kosztu

i tunik spreparowanych ze starych akademickich prześcieradeł, kilku zakupionych za własne pieniądze świec, kilku skrzyń, drągów.

Wracając do samogłoski „e”. Ostatnio teatrzyk usiłuje wytrzasnąć pewną sumkę na opłacenie nauczyciela dykcji. A nuż znajdzie?

Niedawno zespół obchodził swoje „pierwszolecie”. Uroczystość uświetniona została zakupem dwu reflektorów tudzież wymianą książek z dedykacjami. Rocznicowe spotkanie było jakby preludium przed rozstaniem. Kilku kolegów skończy w tym roku studia, pojedzie do swoich agronomów i będzie kontynuować rozpoczętą tu zabawę w teatr. Nie stworzą chyba i oni arcydzieł. W dalszym ciągu będą stanowić ów pomost między swą publicznością odległą i trudną.

KORZYSTNY MEZALIAN

(Dokończenie ze str. 4)

wielką akademię ku czyjejś czci — te trzy czynniki. W Teatrzyku Piosenki zrobiono akademię dla uczczenia np. Rewolucji tak, jak zrobiłby ją Skrzynecki ze swoim zespołem. Jest to rewelacja.

Dlaczego bowiem forma propagandy stosowanej dotychczas w naszym środowisku była zależna od jej treści, a nie od psychicznego nastawienia odbiorców tejże propagandy? Dlaczego każdy występ wchodzący w zakres pracy ideowej jakiejś organizacji ideowej musiał się skończyć niepowodzeniem artystycznym albo być występem nie na temat? W Teatrzyku Piosenki pokazano, że można zrobić propagandę modną i to jest jego największe osiągnięcie. Słyszysz się tu kilkanaście piosenek o Rosji (oraz przepiękną w swojej prostej jadowości historię rzepki), które są ułożone chronologicznie — najpierw Rosja carska i rewolucyjna, burlacy, samowary tulskie, tkliwe serca i skomplikowane dusze, potem Jiesienin i Blok, romans z knajpy, gdzie czytano wiersze i handlowano artykułami żywnościowymi po rewolucji (polecam pamiętniki Erenburga), a wśród tego piękność wielkooka z warkoczem wokół głowy i posagową figurą, ta zatulona w szal Wiera czy inna. To wszystko tam jest. Pomaga im zresztą tutaj odgórna moda lansowana przez jednego z jej dyktatorów: śpiewa mianowicie Świątców z dużym sukcesem piękne piosenki Wertyńskiego. Środek spektaklu to piosenki o wojnie. Pamiętacie pewnie wszyscy państwo czytankę z podręcznika rosyjskiego, w której tam klasie o bohaterskim wyczynie żołnierza radzieckiego, który własnym ciałem zasłonił lufę

niemieckiego karabinu maszynowego; nazywał się Matrosow. Jak niesmacznie ją wspominaliśmy. Jest i o nim piosenka w „Słowie o przyjacielu”. I ci wszyscy, którzy uważaliby za swój święty obowiązek zjadliwie komentować patetyczny wiersz o Matrosowie wygłaszany na jakiejś akademii, teraz klaszczą entuzjastycznie po tej piosence. Ostatnia część chlubnie kontynuuje tradycję Łaźni Majakowskiego. Piosenki: „Krowa”, „Opuncja”, „Kowboj Iwan” to całkiem dowcipne teksty. Są zjadliwe, ale pogodne — są wesołe.

Jeżeli teksty były na poziomie, to muzyka często dawała się średnio we znaki. Cóż. Konieczni nie rodzą się na kamieniu, a na Grzegórkach, ostatnio zresztą i tam już nie (w Paryżu: zdaje się, w związku z zaludnieniem krakowskiej dzielnicy przez aktywistów Rady Okręgowej i językoznawców).

Dobrą stroną tego spektaklu są i wykonawcy, zwłaszcza panie, każda w swoim typie świetna. A jak pięknie śpiewają wszystkie razem, chyba tak pięknie, jak wtedy, gdy śpiewają w duecie. Z panów zasłużenie i obficie klaszano Leszkowi Długoszowi (śpiewa, pisze, komponuje), no i Ryszard Lisowicz z rzepką i w szelkach, palce liżać, proszę pań!

Doprawdy, dobrze się stało, że powstał Teatrzyk Piosenki i że kierują nim dwaj znani krakowscy poeci: L. Moczulski (znany) i Faber Wincenty (bardzo znany). Jeszcze raz dziękujemy im za rozerwanie tej dymnej zasłony mieszczańskości, która legła na kulturze studenckiej — kulturze stabilizacji.

Problem krakowskich studentów w świetle publictyki i pamiętników polskich XVIII wieku, alias Mixtum compositum de vita olim Almae Matris Jagellonicae scholarum, Regni olim Poloniae, virorumque obscurorum, qui in sua superbia docti appellabantur, moribus rebusque gestis hodie na światłość dzienną erygowane, pieczeniawie ku ucieście szanownej gawiedzi a także kwoli obroku dusznego młodzi multiplikowane z nieprzeczysłonej mnogości dziejopisów, też filozofów wszelakiej kondycyi communiter excyprowane

Sila sie ich skarży na swawola studentów Akademijej Krakowskiej, a jako to bywa często, bez uznania sprawy, ale usłyszawszy jeden od drugiego pienne wieści, amplifikuje i szerzy, czego w rzeczy nie masz. Niektórzy żeby diszkurowali, nie mając co inszego czynić, niektórzy żeby affekcikom swym prywatnym wygodzili, a niektórzy żeby zaszkodzili, i tak, że też to przychodzi między skargi i deliberacje sejmików i zjazdów. Przeto żeby ta zła reputacja, która ma sieła podrymaczów, nie szerzyła się, nie od rzeczy uczynię, gdy dam sprawę o tym i ukażę, że te skargi miejsca u ludzi ważnych mieć nie mogą z lekkiego i słabego ich fundamentu, nie tylko żeby miały zaciągnąć jakie praeiudicium tak zacnej szkole, jako jest Akademia Krakowska.

CHERUBIŃSKI zwał się, czasem EUBIŃSKI, pod czas HERSTUBSKI, szweców syn z Białej, miasteczka w Podgórzu. Tego oćciec wyuczył był szewstwa. On porwawszy coś niewolnego ojcu, uciekł do Krakowa i uczył się, pauperibus chodząc. Przybrał był sobie kompana, co się Kasim zwał, studenta, też chłopskiego rodu... Ci pospołu grasując po Krakowie anno 1625 odzierali w nocy, czasem i w dzień, rozmaite ludzkie. Wydarli biele w nocy sakwy z kilkaset złotych kozakowi p. starosty krakowskiego i ranieli go circa 1626 w maju miesiącu. Zaś wydarli kosz chust pełny cienkich i bawełnnych pracze żydowskiej. Zaś złotnikowi na Stradomiu u mostu porwali kilka sztuk srebra robionego. Naszli

zaś biele Zakrzowskiego studenta na gospodę i rzeczy mu sieła pobrali. Przeszpiewowali ich i z hajdukami szedł imać. Oni uciekli do Kłostora bernardyńskiego. Stamtąd wymknawszy, udali, że peregrynować poszli na jubileus do Rzymu.

A jeśli zapomnieli ci, jakimi byli i jakie ich dzieci, niechaj na się i teraz wejrzą, czyli też nie masz między nimi samymi, ludźmi dojrzalymi i co sie to wysokim rozsądkiem popisują, na co by słusznie sprawiedliwość, prawo i eksekucja prawa miała sie ostrzyć. Snadź obaczę, że prawda to: małe dzieci — mały kłopot i małe grzechy. Biją sie studenci — a legislatorowie sie zabijają. Wydzierają sobie książki — a ci wsi i majątności. Pokrzyka sobie żaczek trochę — a ten ledwie nie wywraca świata. Potańcuje studentek, wypiwszy piwa za pół grosza — a tam za nie siła rzeczy, których mi sie i wspominać nie godzi. Po prostu jakochmy się porodzili, z jakiej krwi, tak sie za młodu sprawujemy. Excessy naszego wieku młodego — kwiatki to ojcowskich grzechów, a w ojchach owoce dojrzale, w owocu nasienie zlego. Sami niechaj ojcowie winują, że nas spłodzili, gdy z natury swojej mogli porozumieć, jacy synowie ich mieli być. Aza tego experiencyja nie dochodzimy, że z tego herbu ludzie bitni, z tego klejnotu gorący, zapalczywi, z tego ostrożni, z tego skromni i ciszy; a trudna naturam expellere furca. Kiedy by doma zostawić co zlego, a tu do Akademijej

nie przynosić, wybrawszy ze czterech herbów (którymi sie każdy szlacheckie urodzony szczyci) co lepszego i słusniejszego.

ZIELOGÓRSKI — nazywał się Sobestyan, ze Lwowa rodzic. Uczył się pierw w Lwowie chodząc pauperibus. Potym w Krakowie studował i pojął starą babę z pieniązmi, Cersowu wdowę, anno 1634, i kupił kamieniczkę na Wiślanej ulicy przeciw Bursie Pauperum u Rubinkoskiego. Trzymał czopowe piwne i gorzałczane w Krakowie i na Kleparzu od poborców i anno 1634. Więc potwora chłopska, chociaż ma żonę, tę babę, a chodząc po czopowe do kaczmarzów, to jak upatrzy przyglądszą dziewczkę, odpuści matce za nie czopowe, że mu jej pozwoli, albo i drugiej przepłaci pieniądźmi. Boję sie, by Zielogórskiego ziele z góry nie zaraziło, abo i studenci, jak go zaskoczą, przeniosą go przez kij.

Sila by tu przywoździć de privilegiis scholarum, co napisali jurystowie. A gdyby sie osobnie przywiodło, poznaliby ci, co sarkają na wolności studenckie, że większe praerogatywy mają gdzie indziej wszędzie, niż u nas. A słusznie, dla trzech mianowicie przyczyn: Naprzód gdyż wielki pożytek idzie z nauk i mądrości, słusna do nich



inwitować libertatibus immunitatibus, jako do inszych posług odważnych. I jako żołnierskiej każdy odbięży, gdzie ani nagrody ani honoru nie ma, tak i Akademia musi być pusta, gdzie praerogatyw, im-

munitates i libertates nie ma. Druga racyja immunitatum, ciężkość i kłopot, który ponosi każdy, co sie chce uczyć. Do którego gdyby jeszcze niewola, servitutum et oppressio-nem przydać, byłoby to drogę zagrozić do mądrości. Trzecia przy-czyna immunitatum et indulgentiae legum, prostota tych, co sie uczą in rebus agendis. Dobrze on napisał: Scholastici simplicissimum genus hominum, co jedno łaciny samej pilnują i rozumieją, że świat tak sie obraca, jako napisano w Wirgiliu-szu. Zaprawdę kiedy by takich przy-cisnąć rigore legum, lepsza by kondycja była rzemieślników, ajdu-czków naszym, chłopów i biednych galliotów, którym przebaczywają excessy dla nędzy, prostoty, a że jaki taki pożytek z nich. Stąd-ci świętej pamięci król Jagiełło, idąc tropem drugich fundatorów, Akade-mijej przy szczupłej fundacyej dał nieco wolności. Ażeby sie żaden nie tykał tego, co rozsądnie i szcześnie postanowił, do poważności kró-lewskiej przydał przeklęstwo, żeby żaden libertates, immunitates, confessiones Akademijej umniejszać i cisnąć nie ważył sie.

CIECHANOWICZ chłopski syn, z Ciechanowa pewnie jest, że tak się nazywał. Uduje się być z Litwy słachcicem, co nieprawda sroga. Okradł znać opodal kogoś i zapadł w Krakowie, w rzeczy na studyja, aby jak go kto dojdzie, zakreśli sie między studenty. Wzrok jego ponury, zgarbiwszy się chodzi, miał lat 30 anno 1630. Zaś w Krakowie anno 1931, gdy Forbosza lutra w kamienicy na Sławkowskiej wylupali i wybrali, ten zarwał ze skrzynie potężnie, czym sustentował się na gospodach.

Ale podmyj jedno do inszych szkół w tej Koronie, w których posiadają sanctam disciplinam, studenty impeccabiles, ledwie nie kanonizowane in genere. Wspomni-my, co sie przeszłego lata stało na Mazowszu, na jednym miejscu, gdzie przyszło ad iustam dimicationem, rozlania krwi, contemptu wielkich ludzi, a tak sie prowadziło to tam, że res agebatur ex composito, cogitato, nie z trafunku, jako bywa, et impetu, ale vi armata et praeparata. Z Rusi co słysząc teraz świeżo; zda mi się, że i tam nie bez krwi. A kupa tamta studentów przeciwko Akademijej nie ma kom-

paracyjej. W Lubelskim co sie dzieje bardzo często, a dzieje się znakomicie pod okiem i ramieniem trybunalskim. W Wielkiej Polsce jak wiele insolencyj, jak często, jakie ognie, jakie burzenia, jakie mordy. O tym wszyscy wiemy, tego sie dotykamy, jedno że nie wiem, skąd wychodzi pewna mgła i obłoczek, co to zakrywa, a na szkołę nastarszą w Koronie, omnibus praerogativis ozdobioną, bez przyczyny wszelaka wina.

KUROWSKI zwał się z Paczanowa miejski synek... Ten studował w Krakowie circa 1624. Tam igrając zepchnął był z muru dziecie ślacheckie, że zaraz umarło, a ten uciekł z garłem z Krakowa. Potym w Kaliszu uczył się trochę, zaś w Sędomerzu anno 1625, zaś w Jarosławiu r. 1626 humanitatem, zaś w Poznaniu r. 1627, eż znówu do Krakowa przywędrował anno 1631. W Bursie Jeruzalem mieszkał, a co be-li Forbosza lutra rozbieli w Krakowie, on też siedział o to na zamku. Zaś o zabieciu Wolskiego anno 1632 uciekł z Krakowa w Wstępną czwartek. Bywały wędrując po excessach, jedno u kata jeszcze nie był.

Mieszkał pan jeden wielki w Krakowie długo z niemalym dworem; zawsze bywały niepokoje i skargi. Dworscy składali wszystkę winę na studenty, studenci na dworskie, ale niebożęta nie mogli justyfikować się u pana, który swoich szanował i nazbyt o nich dobrze rozumiał, tak dalece, że też pisał to o sobie, iż bez niego tedy by miasto przyszło w niebezpieczeństwo tumultu od swejwolej studenckiej. Umarł potym on pan, rozjechał się dwór, spodziewano sie zatem wielkiej rozputy, ale sie rzecz przeciwna ukazała, bo gdy dworskich nie było, i okazyjej i przyczyny nie dawano; w naturze swojej i w pokoju cicho Akademia stała i stoi.

pWT



Pozostawiam uwadze innych pytanie, czy naiwność można nazwać przebiegłością, od siebie zaś służę faktami: sądząc z różnych przypadkowych konfrontacji, „Salamandra” odgrywa przede wszystkim niewdzięczną, lecz konieczną i nader w praktyce przydatną rolę Proteusza, albo białego murzyna. Wystarczy jeden zarzut, by jej kształt uległ na poczekaniu zmianie. Ten „plaz” posiada tyle różnorodnych wcieleń, ile kontrargumentów, punktów widzenia i opiniujących uwag. Niemal każdy, równie nieobale, potrafi korzystając z jego nadobiegliwej uprzejmości uzasadnić swą rację i znaleźć dla niej przykład na scenie. Współżyją tam w świętym spokoju najbardziej odmienne i sprzeczne sady, albowiem murzyn, który odznacza się szczególną manią zadośćuczynienia wszystkim według ich zlej woli, zabiega zwłaszcza o pobażliwość, przeznacząc całą swą czarną inteligencję na jasnowidztwo. Praca niewdzięczna, gdyż pozbawiona rzeczywistej satysfakcji i uzależniająca efekt od cudzej przekory, a konieczna, ponieważ wynika z właściwego niepewnym stworzeniom instynktu samozachowawczego. „Salamandra” zdaje sobie świetnie sprawę z własnej, sprowokowanej brakiem wyboru i przyrodzonych umiejętności natury, która liczy tylko na rządzone przez opinie pozory. Służy wszystkim w potrzebie zyskania przekonującej racji bytu i by zachować nie

Zenon Bernat

MIMIKRA

istniejącą skórę, koryguje każdy z osobna spektakl przypuszczalnymi sądami przypuszczalnych krytyków, lekceważąc oczywiście i wynikające stąd nieporozumienia. Przykładem bieżąca inscenizacja „Ucieczki na południe”, w której kojarzy dwie usprawiedliwiające się nawzajem konwencje: towarzyską i artystyczną. Pierwsza, którą tworzy „dowcip”, ma w intencjach grupy zapewnić jej popularność, druga, bardziej ceniona, przekonać co wybredniejszych i wymagających widzów. W promieniu towarzyskiej korzysta bez miary z licencji wieku, środowiska, jego atmosfery i żartu, który pełni tutaj zasadniczą funkcję: ubiega i neutralizuje zarzuty ludzi według kawiarnianych relatywistów zbyt serio bądź zbyt ideowo. Każda rzeczowa krytyka może przy stoliku okazać się koniem lub kozłem. Zastrzeżone jest bowiem za kulisami rozumienie jako dobrego dowcipu nie tylko listu do p. Mrożka, lecz całego występu z jego fantazją, miejscem stania i tzw. żąkowską tradycją. Śmiech rozgrzesza każde głupstwo i tym samym ułatwia życie: dowcip nie wymaga specjalnych wyrzeczeń, cierpliwości i niecodziennej myśli. Zwykły pomysł, przypadek, nawet błąd przechyla szalę cudzego upragnionego złota. Tym bardziej, iż najdowcipniejszy jest ten



w najgorszej sytuacji — żaloszny adaptowany. Lecz wszelki życzliwy a niewybredny podkreśla humorystyczny aspekt spektaklu wbrew intencjom samych realizujących. „Salamandra” ujawnia swe aspiracje, nadzieje i pretensje, rozszerzając wskazany margines na pozostałą stronę, która pociąga znaczeniem i jego przyczyną: niesprawdzała

i powietrzną niemal konsystencją sztuki, będącego jedyną okazją do oryginalności. Już reflektor, fotel i znajomy gwar czynią obiecujące wrażenie. W inscenizacji satyrycznego scenariusza posłużono się równie popularnym ujęciem poetyki współczesnego teatru, której metaforyczne elementy, zinterpretowane dla dobra dowcipu jako korzystny bezsens, stwarzały możliwość nowej i uszlachetniającej nawet licencji. Teatralizacja dotyczy jednak poleconego przez tekst kabaretu i jak każda pretensjonalność ukazała jaskrawiej braki urody. Sugerowano się niewątpliwie zewnętrznym podobieństwem między konstrukcją dramatu a nonsensownym dowcipem i uwierzono sugestii, że wystarczy przejąć tę analogię, by uczynić rzecz taką, jaką rzeczy ją Mrozek. Ten natomiast, chcąc uzyskać swoistą „jedność treści i formy” pisze dramat. Zabawa „Salamandry” w nonsens i Mrożka, będąc ogołoconym z dyalektyki kojarzeniem przeciwnieństw, stała się bezsenssem i nieporozumieniem. Konstruowanie organicznej całości na porządkującym oderwane w gruncie rzeczy dowcipy motywie krytyki pospolitej Polski (łatwie i schlebniej nieświadomości aluzje oraz nonszalanckie pomysły są specjalnością bohaterów wieczoru) rozprasza się z każdym nowym stanowieniem zamkniętą formę szczegółem. Małpolud nabiera cenzuralnych manier, a próżnie między elementami zamierzonej i rozpoczętej akcji wypelnia wzrastający stopniowo rozgardiasz i niczym na scenie nie uzasadniony przypadek. Brak jednolitości, konsekwentnej i logicznej konstrukcji, nie tylko artystycznego powiązania poszczególnych fragmentów i przekonywającego repertuaru środków formalnych, graniczy niemal z bezwartościową i tania szmirą estradową. Powstaje krępujący dziwoląg, który ujawnia garderobę Proteusza. Kabaret psuje sztukę, sztuka kabaret, a aktorzy istnieją tylko dzięki tekstowi, który



społecznymi (w szerokim tego słowa znaczeniu) i względami towarzyskimi. Wszelkie symboizy przy niewy-kwalifikowanych możliwościach są na płaszczyźnie artystycznej tylko nieporozumieniem. „Salamandra” obdarzona została przez sam wybór miejsca pewną, polegającą przede wszystkim na inteligencji, odpowiedzialnością za rangę studenckiej bądź co bądź kultury i powinna zawierać to minimum, do którego widz będzie mógł się przyznać. Zwykła twórcza uczciwość wymaga, by zespół artystyczny, tak jak każdy, wykupywał bilet wstępu do klubu „Pod Jaszczurami”, nie mówiąc już o krytyce i współczesności. Tymczasem związek „Salamandry” z Jaszczurami zaczyna przypominać megalians, a (mimo, iż) ludzie się śmieją.

CUDA, ŁASKI I DOBRODZIEJSTWA...

(Dokończenie ze str. 3)

— symptomata te były poważnymi świadkami, składającymi winę nie na ową bolejącą głowę, ale na całą psychikę — chorowitą, nie znośzącą w życiu jednostajności i płytkości, na co była zazwyczaj skazana, a to powodowało znów osłabienie całego ciała. Zastosowałem moje zwykłe postępowanie, które teraz zwiastowało tym większą skuteczność, że onegdaj szczęśliwie uzupełniłem brakujące „ogniwa” w mych zbiorach remediów. Działanie zabiegu skierowane było na całą psychikę, nie miejscowo. Polegał on na aplikowaniu jako jedynej lektury, znanego w pewnych sferach pisma pt. **Kuryer Akademicki**, tłoczonego w Krakowie. Pacjent miał regularnie przez 5 tygodni czytać po jednym egzemplarzu **Kuryera**, poczynając od ostatniego. Dokonał **Kuryer** uzdrowienia dzięki swojej niecodzienności i niepowtarzalności; nie drażniąc wcale cierpiącą głowę, uleczył naprzód całą psychikę, a wraz z nią ciało. Wróciła jednostajna transpiracja skóry, prawidłowe krążenie krwi, dobre trawienie i połączono z tym podniesienie ciepłoty ustroju, lepszy wygląd i zupełne zdrowie.

Wciąż ta sama historia, a przecież nigdy nie jej dosyć nie naopowiadając: czytać **Kuryer Akademicki** dla zapewnienia zdrowia psychicznego. Ze słusznym było moje przecucie co do powodów cierpienia głowy u mojego pacjenta, dowiódł wynik. Po pięciu tygodniach cała psychika, a co za tym idzie, i ciało, cieszy się najlepszym zdrowiem. Owo straszne cierpienie nie powróciło już nigdy o godz. 7.



O Akademii Krakowskiej, jaka się w owej niegdy rzecz miała, kwestyja z Dyssertacyi Authorów rozmaitych wybrana i teraz na nowo do druku podana

Mógłbym się tu zdobyć wzorem. Dziel akademickim, na pisanie po grecku chociażby, ale nie chciałem. Typografii wyszukiwaniem liter greckich zatrudniać; przez to piszę obok liter polskimi.

A naprzód ta trochę uwag do wiedzienia, ku łacniejszemu rzeczy wyrozumieniu. Wszecznica ma to jedno znaczyć co Universitas. Jest to wyraz Akademii Krakowskiej. Będzie tu jeszcze wiele innych przedziwnie dobrze wynalezionych. Wyraz Wszecznica taki jest dobry, do- bry jest także wyraz Wszecznia: bo usze zna, wsze umie i nic nie masz, co by się przed jej wiadomością ukryć miało. A teraz bacz pilnie, miły Czytelniku: kto we Wszeczni naukę czyrpie. ten się słuszenie mo- że zwać Wszeczniak, jego zaś żona Wszeczniczka. A przecie gdybyś miał żonę, nie życząc, aby była Wszeczniczka i tak samo Jejmości nie życząc Ciebie za męża Wszecz- nikiem. Jeżeli i on i ona będą dla wszystkich, nie śmiem nawet pomy- śleć, co by to za małżeństwo było. Tu się sens w tym zakłada, abyś pilnie baczyl na słowa, bo czego nie wiedzieć albo wiedzieć nie, lepiej cale nie powiedzieć.

W tej to Akademii przypadki, o nichże mówić mamy, niektórzy Authorowie — czemu wszakże ni- komu wierzyć się nie każe — w onym czasie kładą, gdy iussu Recto- rum murus magnus in Bursa Alinae Matris aedificatus est. Ow zaś z tą myślą wzniesiono, aby co w Księ-

gach nieprawdą jedynie i zryśle- niem zdać się może, w iaktą na nowo przyoblec. Cziemy wówz z dawna onę powieść, jako żnę swą nadobną Pan niejaki w Zamku mu- rem okolił, a to k temu, iżby Ry- cerz, który ją miłował i który w jej swą miłość słowy wyznał, dostępu do niej nie miał, a czynem tego nie okazał, co obiecał. Aliści ten Kycerz chęcią takową rozgorzał, że dziurę stosowną miłowaniu swoje- mu w onym murze wytlubał i cie- szyli się sobą obadwa z oną niewia- stą. Tak-ci na moral tej powieści baczac, Prześwietna Administracyja mur taki sam oto funduje, by tym sposobniej i wyraźniej żak grzechny ogromu swych amorów do- wieść mógł (jeno niezguły przez dach wchodzić będą). Raz jeszcze przeto pierwszą żacy z dawien daw- na pamiętaną i w różnych starych operach pomieszczoną jedną cantilenam inhonestam tako idącą:

Chcym na pannu żałować,
nie chciała mi ona dać
memu koniu owsa.

Bo czemu by mieli nie śpiewać. Głową muru przecie nie przebiją, choćby już nie tylko o owies szło...

Gdy po Bursach takie się żale rozlegają, dzieją sprawy takie i ta- kie między Powszechnością turba- cyje, w Aulach zgola insze się glo- sy słyszeć dają. Wysoki Senat ze swymi Professory insze wiedzie de- baty, a które-m po rozmaitych Au-

thorach wyczytać był w stanie, teć pilnie powtórze.

Otóż i Profesor Wielkiej Scjencyi tak prawi o Dyssertacyjach Fizyka, drugiego Professora, także Wysoką Scjencyją napełnionego: — Pomi- jam, rzecze, i owo, czego pomijać mi się nie godzi; chciałbym się tyl- ko zastanowić nad umieszczoną w tejsze Dyssertacyi myślą, myślą dzi- ką i niestychaną, że za pomocą Fi- zyki: nawet sama materya ludzka stała się szlachetniejszą i doskonalszą Biorąc ją bowiem czyli we względzie fizycznym, czyli moral- nym, wcale jej nie pojmuję i wno- szę, że Author albo bluźni albo się nie rozumie. — Znalazłże się choć jeden z was w tym rodzaju, ów na to odpowie, co napisać owo podjęt- by się i potrafił? Uczni mnie ro- zumieją, a o tych mniej dbam, co może i w sprawie Wirgiliusza nie widzieli.

Porwie się na te słowa inny i tak z gniewem powie: — Któż mi tu Wirgiliusza ignorancją wytykać będzie? Takowego stylu pi- sarz, krasomówca i Fizyk! Fizyk wi- nien się mieścić w liczbie tych Fi- zyków, którzy nad ochędcstwem miast czuwają, obiecując wygoto- wać dzieła o przyzwoitym pieczeniu chleba, o robieniu piwa i miodu. Już się tu poniewolnie rozgniewać muszę, bo jeszcze w żadnym Au- thorze tej beczelności nie widział. Jeżeli chleb i piwo podle przepisów tych robione tyle dla ust moich smaczne będą, ile Dyssertacyje W. Pana do gustu i umysłu mego przy- padły, już czuję, że niesmakiem i obrzydzeniem zdjęty, albo bym ta- kiego posilku nie przyjął, albo przy- jęty wyrzucił bym musiał. — Ra- cyja, inny go poprze, gdybym wszystkie w piśmie tym błędy, tak w myślach, jako i w wyłożeniu onych, chciał brać na szalę krytyki, w większą bym się daleko zaprzął robotę, niżli ją miał Author w pło- chej i niebacznej dzieła swego ro- bocie.

Gdy inni tak mu wymyślają, błę- dy jego ganiąc, on ledwie broniąc się, wtrąci: — Nikomu nie jest taj- no, że obraz świata wystawia nam widok natury... — Kto chce za mędrka uchodzić, rzuci ktoś, zawile mówi. A obacz W. Pan Pliniusza Hi- storiam mundi abo i Dictionaire de Bayle, a wtedy łatwo się pokaże, że nijakiej racyi nie masz (Mówca nie wyczerpał całej materyi, bo można się tu jeszcze odwołać do J. Pana Schastra, Professora Fizjologii i Nauk Naturalnych w Krakowie i do J. Pana Czempńskiego, którego mo- we w tej materji przy zaczęciu Lek- cyi w Wilnie mianą odczytaj — przyp. wyd.).

— Jestem Polak i takiego oszpe- cenia rodowitej mowy nigdy W. Panu nie daruję! — dopowie następ- ny i tym Dyskussyją zakończy.

Gdy Professor Nauk Fizycznych zwoła do siebie przychodzi, już I. W. Rektor drugą Dysputę rozpoczy- na, wzywając innego Męza Nauk, by swe o rzeczy miał zdanie. Ten tak mówić pocznie: — Wyjechawszy dnia 19. lutego na koniu dość ro- słym, którego umyślnie trzymam dla polepszenia zdrowia przez agitacyją konną, spuszczaając się na nim z pa- górka osłiżnionego z wierzchu, a włąbsz złodziejczy, pośliznąwszy on się w oka mgnieniu tak, jak gdyby go ze wszystkich nóg człowiek zer- wał, nagle padł całą swoją masą na moję nogę lewą tak dalece, że śro- dek ciężkości jego ugodziwszy punkt wyższy na dwa cale nad kostkę, o mało mi w tym miejscu nogi nie strząskał. Aż nadto przekonało mnie owo doświadczenie o rzetelności owego Newtona prawa, id est: reac- tio est aequalis actioni, ile że dało mi się uczuć na stronie nogi od zie- mi przytłoczonej boleść tak wielką, jak wielkie było działanie ziemi. Tu jeden ze znaczniejszych między Professory ocknąwszy się mruk- nie: — Po co jeździł na wżgórkach lodem okrytych na koniu, a może jeszcze nie kutył? — i, by mu nie

przerwano, czym prędzej tak ciąg- nie: — Nie ten jest Astronom Do- strzegacz, który częścią dla przy- spieszenia strawności żołądka, czę- cią dla oddania ofiary wyniosłością pretendowanej, kiedy niekiedy spoj- rzy w niebo. Tu już i sam J. W. Rektor nie zdzierży: — W tym, co W. Pan mówisz, zakrzyknij, naj- większe jest grubiaństwo! Skąd to wie W. Pan Professor. że się po- strzegania astronomiczne przykładają do strawności żołądka? Ja za- sięgałem oświecenia w tej mierze od Doktorów warszawskich!...

By ten gniew zażegnać, inszy Fi- zyk rzeknie: — Słuchajmy dla uspo- kojenia gniewu tego oto mego wy- wodu, jaką się natura zda: Owóż jest Fizyk amant, wielbiciel do- świadczeń, zasię Natura kochanka cienkim jeno rąbkiem okryta, przy- rodzone widoki dla bystrych oczu na jaw wystawiająca... Jeszcze ten mówić nie skończy, gdy Professor Philosophiae, po irzykróć Doktor, wtrąci z nagła: — Znasz W. Pan Kandyda. Znasz Wielkiego Panglosa. Znasz Pannę Kunegunde. I Zamek Barona von Thunderkden-Tronk. Wiesz W. Pan, co się tam stało. Przeto podobnej Fizyki nie nauczaj!

To i wszystko, co mi się dało po księgach rozmaitych greckich, ła- cińskich, polskich, a także i nie- mieckich Authorów należał, a nie tu z mojej głowy nie masz. Kto by zaś sądził stąd dla Akademii niesławę, dyshonor jakiś albo i insze niecoty, tego ten wierszyk, rymem sposobnie ułożony, jak jest w błędzie, niechaj poczy, a niechaj mu biczem ku przestrodze będzie, któren, w Kra- kowie ukrecony, tak idzie:

Ten ode mnie ćwiczony zostanie na wieki,

Tego grube na zawsze ogarna

Kto się na Jagiellońską chce targnąć

Przystępujcie! Mam bicz w ręku...

Józef Reczek

Historyja krótka a treściwa bydlen zacząch, które ninie domami studentów, nie wie- dzieć czego, w Polsce zwa

pomknęło jeszcze sześciu, a drudzy mienią, jakoby dziewięciu, jego pięk- nów cudnej postaci ku wężzeniu barzo, i w kraj na zawiniętych no- gach pod cieniem wiedzy starca czcigodnego wyrastać jeli, niby płonki z korzenia w ziemi przez niedbalego karczdzieja zabytego, co raz śmieiej i śmieiej ku górze rosnąc. Żyli z dnia na dzień zbiera- jąc jajeczka ptasze, małe chrobaczki, co smaczniejszą trawkę, szyszkę drzew różnych, a w gorszym czasie i pędy pięknie bujących bambu- sów. Całą tę gromadkę tamtejszy biografi aśrama, co pustelnia zna- mionuje, nazwawszy, w pokolenia podali, część przygotowując dla mi- strza arcyprzemadralego i jego ucni, tudzież estymę aż po dzień dzisiejszy.

A tak masz, swywołniku, niczym w zwierciadle z przedni miedzi ibe- ryjskiej pepek alias zaczn późnie- szych łakomców wiedzy w ich po- spólnym pomieszkaniu krótko wy- rzazany.

A zasię drugi obyczaj wiedli oni Hellenowie. Powiedają nam księ- gi i folianty stare, że przenosili naukę chodzący nad stojący albo siedzący i blakli się tam i sam po gajoch kolek Atenów i reszty

miast rosnących. Nie wszystkich ucni w domach chowali, jeno tych, którzy z najdalszych krain ekume- ny do ich krenicie przybywali, a ta- kóż którzy w miechach swych obole i drachmy obficie najdowali, żeby panom pedagogom za wikt i opie- runek na każdego pierwszego aku- ratnie wypłacić mogli. Za te drach- my i obole czośnek i oliwę dostaw- wali wzajem, a od święta i ryba się przydarzyła, bo Greczynowie smaku we wszystkim się doszukiwać chcie- li i od tych zacząch posiłków w nie- dziele albo w inksze święto sprawo- wanych przepis na karpia po grecku po świecie się rozsyrzył razem z naukami boskiego Platona i jego nabyorniejszego ucznia Arystote- lisza, jako też drugich, że ich tu pomine. W Helladzie też powstał on obyczaj popijania trunku przez żaki, który do obyczaj jest sercu bardzo miły a umysłowi pożyteczny, bo jeśli wino jest dobrze oczyszcz- one, to cudnie wszystkie przedmioty w sobie odbija, a za jego przykła- dem umysł przezeń podlewany sta- je się jasny, klarowny i do wielkich rozmysłów zdolny; szkód natomiast przynoszą napoje mniej szlachetne, ale o tem wszystkim z ogromem cy- tatów z mądrych ksiąg i sentencyj piirwszych umysłów szkół i sekt wszelakich w innem piśmie Ci już podałem. Byli u Greków też niedo- warzeni mędrki, jak on Dyfogenes z Abderi, jen w becze siedział i stąd masz oczywisty dowód, że ża- ków nijednych koło siebie zgroma- dzić nie mógł i owszem sam siebie i swoje nauki przyglupkami okazał, za co słuszenie wysmian i w pogardę popadał aż po dzień dzisiejszy i na potem. A tak widzisz, iż już daw- nych ludzi rozumy k temu przy- szły, że aby ucnie czyli żakowie korzyści duszne i cielnie odnieść mogli, muszą mieć pomieszczeń du- żo schludnych a chędożnych, bo ciasnota, jak to przykład nieszczę- śnika Dyfogenesa, ku ruinie jeno prowadzi, a śmiech pusty i naigra- wania potomnych rodzi.

Wilcze plemię Romulusa mało miało pod tym względem wynalaz- ków włostnych, ale jeden znamie- nity: dyscypl (takim śmiesznym

wyrazem żaków signifikowali) kro- mie inkszych nauk i scjencyj od Greków podpatrzonych kielkakrot- nie w rok na gołą sempiternę mnó- stwo razów knutkiem albo jakim prętem sub love (czyli na świeżym powietrzu) brać był obowiązany, co tak dobrze wpływało na moralność młodzi, że Rzym do nawiększego państwa doszedł i przez długi czas był ostoją ładu i wszelkiej pomyśl- ności. Nie zaśreksali się jednako- woż, kutwy i kauzyperdy Nadty- brzańskie, o stipendia fundowane i bursy odpowiednio przyrządzone, a tak musieli nędźnie wyginać, co się i właśnie akuratnie stało.

Widząc smutny koniec tak pięk- nie się zapowiadających początków, średniowieczne przemysłnicy na po- mysł wpadli, żeby wszystkich żaków z jednego miasta do pospólnego do-



mu zawrzeć, kowanymi dźwierzami od reszty ludzi odgrodzić, kratki w okna powstawiać, by jeno na past- we profesorów ich ostawiwszy, wrodzoną każdemu człowiekowi, a może nawet co poniekiedy zwie- rzętom (jako na ten przykład osło- wi albo wolowi) hardość przez żad- nej lutości i pohamowania złomić wszelkimi sposobami, dniem i no- cą ich maltretując, podpatrując i wydziając nad nimi. Domy one zakratkowane, do ciemnic kształtem i rozmiarami podobniejsze, niżli do pomieszczeń dla ludzi, u nas w Polsce bursami nazwali (bo iście jak dla borsuków mieszkania), a gdzie indziej inaczej. Ławy im za- mówili u stolarzy długie, przez ozd- ób i miętkiego siedzenia, żeby zasnąć w czasie gładzenia magis- trów miłi zacząkowie nie mogli i ow- szem stale te same opowiadania z różnych dziedzin powijmowane i potem do kupy posklejane wysłu- chiwać musieli. Jedli oni magistro- wie razem z żaki i przyglądali się świdrującymi ślepiami, żali któren nie wykrzywia głęby na kwaśną po- lewkę ze stęchniałej maki albo na kmpot ze starych gruszek uczynio- ny. Nawet nocą, pocziwiny, nie by-

li wolni od tych Argusów. Spali w ich pokojach razem, nie przypusz- czając żadnych białych głów do ob- cowania cielesnego, sami zato oble- nie na wszystkie strony się za taki- mi rozglądali, o czym wiele stare kroniki naszej Almae Matris Ja- gellonicae się rozpisuja.

Raz nawet bakałarza w stanie podchmienia starym piwem na u- licy żak jeden potkał i słowem do- prawdy brzydkim spostonował, czemu się, szczerze mówiąc tak bar- zo znowu nie dziwuje, bo wszystko ma swoje granice a wiadomo, że w młodym cieie, jeszcze nie uje- żdżonym, duch mieszką dziki i do czynów mniej ślachtetnych skory. Bakałarz ten mścił się nad bieda- kiem aż od czasu, gdy chłopczyzna podrosła i sam w bakałarza, niby z motyla poczwarka, się zamieniwszy, innych prześladować w ten sam sposób, jak jego przedtem on baka- łarz, poczał. A tak widzisz, mój ju- ny przyjacielu, jak ciężko było ku wiedzy dojść dawnymi laty. A tak jeszcze możesz tę naukę wyciągnąć, że im więcej miejsca dla siebie ma żak, tym wiedza jego jest bardzi na wszystkie strony skierowana, do- kładniejsza i potem lepsze przynosi owoce. Tak też wszystkie pospólne domy studentów alias stare bursy albo też domy akademickie powinny być taką szluką murowane, by każ- dy w świetle, czystie, przestronnie, sam abo z kim, podle jego woli i zachcenia mógł się najęść, popić i przespać, a jak mu czasu wystarczy, to i do gruntownej wiedzy dojść mo- że. Sam znam takich żaków, z k ó- rych wymieniać mógłbym długie kolumny, ale jak powiada stara po- gwarka, nomina sunt odiosa, prze- to zmilczę. Teraz przeze mnie po- uczony, będziesz wiedział, czego masz się trzymać w materji, która się burs tyka, a jak ci włos zsza- dzieje, zobaczysz, żem był praw.



